

Dwudziesty rok szkolny w Polsce Ludowej

Odgłosy



Rok IV
Łódź, 1. IX. 63.
Nr 35 (287)
Cena — 1 zł.

A wydaje się, że to było tak niedawno, jak wręczyliśmy naszym uczniom w lipcu 1945 r. świadectwa na zakończenie roku szkolnego 1944-45.

Wprawdzie dla Łodzi ten rok szkolny był niezwykle krótki, zaczął się bowiem w lutym 1945 r., ale — był.

Mińło lat 19 jak z bicia strzelił i weszliśmy w dwudziesty rok szkolny w naszym ludowym państwie.

W tym ostatnim roku drugiej dziesięciolecia można i należy dokonać jakiegoś poważnego podliczenia naszego dorobku we wszystkich dziedzinach życia narodu i państwa. W dziedzinie oświaty i wychowania — również. Rok ten będzie zresztą na pewno nie tylko rokiem bilansującym ale również rokiem kreślenia perspektyw. Mamy poza sobą pierwszy rok realizowania reformy szkolnej (w kl. I-IV) jesteśmy po lipcowym XIII Plenum poświęconym, jak wiadomo, analizie pracy ideologicznej Partii. Zarówno referat I sekretarza jak i dyskusja w dużej mierze poświęcone były sprawie wychowania młodzieży. Dokonano próby oceny naszej pracy w tej dziedzinie.

Jest to sprawa o podstawowym znaczeniu.

— Co z tego bowiem, że wysiłkiem całego narodu tworzone nowoczesne i potężne zakłady przemysłowe, osiedla i miasta zabezpieczają młodemu pokoleniu pracę i chleb?

— Co z tego wreszcie, że dziesiątki szkół wyższych, tysiące szkół podstawowych, średnich ogólnokształcących i zawodowych różnych typów zapewniają wszystkim bezpłatną naukę od klasy I po dyplom uniwersytecki?

— Co z tego nawet, że w szkołach tych — pięknych, doskonale wyposażonych — osiągałaby młodzież coraz lepsze wyniki w nauce — gdyby równocześnie nie kształtowała się w jej sercach miłość dla krwi ofiarnej najlepszych synów, którzy za tę właśnie ojczyznę życie oddali, wdzięczność dla pokolenia, którego wysiłkiem ogromnym kraj ten z gruzów wojennych się dźwignął i szczęśliwie jutro buduje?

Obok tego trzeba nam jednak zrozumieć i nigdy nie zapominać, że pokolenie najmłodsze — naszych uczniów swój start życiowy rozpoczyna w zgola innych okolicznościach niż my. Dla nich nowoczesny przemysł polski, nowoczesne środki transportu, piękne drogi, kilkusetkilometrowe zagospodarowane wybrzeże morskie itd. — to rzeczywistość już zastana. Film i telewizja, sztuka (ta przez S i ta przez s) we wszelkich jej odcieniach i kategoriach, no i w końcu — ustroj społeczny będący źródłem tak głębokich przeobrażeń w strukturze społeczeństwa, w obyczajach, kulturze — to też rzeczywistość już zastana. I tu rodzi się poważna sprawa tzw. ideałów życiowych młodego pokolenia. Pokoleniu temu nie może wystarczyć jedynie afirmacja czy kult określonych wartości, ukazać mu trzeba również niedostatki, niedociągnięcia naszej pracy, nasze zapóźnienia w wielu dziedzinach



Laureatki dwóch pierwszych nagród w konkurencji piosenkarzy zagranicznych — Tamara Mjansarowa i Simone Langlois.

Foto: E. Broniarek

MAREK WAWRZKIEWICZ

SOPOT po raz trzeci

I już po Festiwalu! Konstatając ten fakt, nie mogę się oprzeć uczuciom cichej radości i ulgi. Bo w sumie III Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie przyniósł wiele poważnych rozważań. Mimo wszystko — pomimo zapewnień dyrektorów PAGART — o wielkim międzynarodowym znaczeniu tej imprezy, mimo zadowolenia organizatorów, mimo grzecznościowych komplemenów obserwatorów zagranicznych, pomimo — nawet — wielkich reklam zdobywających obskurną halę Stoczni Gdańskiej głoszących, że „BOAC łączy 6 kontynentów”. Zanim jeszcze zastanowię się nad rzeczonymi sopockimi rozważaniami, warto się zatrzymać chwilę przy założeniach Festiwalu, które wydają mi się bardzo słuszne i godne dokładnej realizacji. Założenia te można określić w jednym zdaniu. Festiwal w Sopocie mają być rodzajem kramu z piosenkami, na którym zagraniczni nabywcy kupowaliby polskie piosenki. Oczywiście głównym celem tej zamierzonej wyprzedaży nie jest światowa sława polskiej piosenki i jej twórców; celem są na pewno bardziej komercyjne.

Słuchacz programów radiowych wie, że oprócz polskiej muzyki rozrywkowej odtwarza się w radio wiele nagrań zagranicznych. Rzecz jasna,

nikt ich nam z dobrego serca nie podarował: płacimy za nie miliony złotych w ciężkich dewizach. Ten import piosenek i wszelkiego typu muzyki rozrywkowej do Polski nie był dotąd zrównoważony żadnym eksportem. Do zmiany tego niekorzystnego stanu rzeczy mają się przyczynić festiwale piosenki. W tej chwili możemy mówić o rezultatach dwóch poprzednich Festiwali. Nie są one najbogatsze, bo zaledwie trzy czy cztery piosenki zostały nagrane i są wykonywane za granicą (Szwajcaria, NRF, USA). Trzeba jednak wziąć pod uwagę zrozumiałe trudności w wejściu Polski, kraju bez większych tradycji piosenki, na rynek europejski czy światowy, gdzie panują takie mocarstwa przemysłu rozrywkowego — jak USA, Francja czy Włochy. Trzeba również wziąć pod uwagę dochody jakie daje choćby tylko jedno nagranie polskiej piosenki za granicą. Willi Branżes z NRF nagrywał na przykład piosenkę pt. „Noc ne Canto” (milion osiemset tysięcy płyt) zwracawszy stąd koszty sopockiego Festiwalu, które wynoszą około półtora miliona złotych. Założenia więc Festiwalu są słuszne i pewno warto tę imprezę kontynuować, tym bardziej, że zdobyła już sobie rozgłos międzynarodowy. Jednak już w realizacji tych założeń spotyka się wiele trudności. W ubie-

głym roku np. pokazano w hali Stoczni dwie ponad istotne potrzeby modne piosenkarzy „mocnego uderzenia”. Pomijając już fakt, że obie są mocno niedouczone, (mam oczywiście na myśli wykonawstwo) trudno sobie przecieź wyobrazić, aby nagrania Majdaniec czy Stanek były masowo wykupywane w krajach, gdzie śpiewają Heleń Szapiro, Paul Anka czy Billie Holiday. Tegorocznych nieporozumień — było kilka. Jednym z poważniejszych był chyba dobór piosenek polskich prezentowanych na Festiwalu. Zagraniczni specjaliści (to znaczy byznesmeni) podkreślają, że głównym grzechem polskiej piosenki jest jej ekliwa sentymentalność rodem z dwudziestolecia międzywojennego, to co się ironicznie określa jako „słowiański tesknice”. Mimo to zdecydowano się na wybór właśnie takich piosenek, które, jak łatwo wywnioskować, nie będą dla zagranicznych nabywców atrakcyjnym towarem. Drugim błędem był brak nagrody dla piosenkarzy zagranicznych wykonujących najlepiej piosenki polskie. Nagradzało się

Dalszy ciąg na str. 5

Dalszy ciąg na str. 5

Rozważania o kulturze masowej

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Kultura dla milionów

W sztafecie artykułów o kulturze masowej (Wiesław Jażdżyński „Dlaczego moda jest szkodliwa?” w nr 33 „Odgłosów” z dn. 18 sierpnia 1963 r. i Jan Koprowski „Kilka uwag o kulturze masowej” w nr 34 „Odgłosów” z dn. 25 sierpnia 1963 r.) podejmuję z kolei jako trzeci paleczkę sztafetu, przejętą od Jana Koprowskiego wraz z pytaniem o politykę kulturalną.

Na początek warto jednak zajrzeć do dzieł uczonych socjologów i znaleźć definicję tej tak szeroko dziś dyskutowanej „kultury masowej”.

CO TO JEST KULTURA MASOWA?

MATERIALNY i duchowy dorobek ludzkości rozpowszechniany za pomocą masowych środków mechanicznych w nowoczesnych społeczeństwach zindustrializowanych, jak również społeczna rama ich oddziaływania — oto kwintesencja z polskiej definicji socjologicznej. Natomiast uczeni krajów kapitalistycznych biorą pod uwagę rozróżnienie socjologiczne: „kultura masowa to kultura warstw niższych”; ekonomiczne: „kultura produkowana masowo na sprzedaż z myślą o maksymalnym dochodzie (zysku)”; oraz estetyczne: „kultura masowa to tandeta, łatwa do konsumpcji i nie wymagająca od odbiorcy wysiłku” (cytuje za Zdzisławem Najderem z „Twórczości” nr 10 1963).

W świetle ostatnich trzech definicji przestaje dziwić, że niektórzy zachodnioeuropejscy uczeni uważają mass-culture za „piekło naszego wieku, za antykulturę o cechach wybitnie negatywnych”.

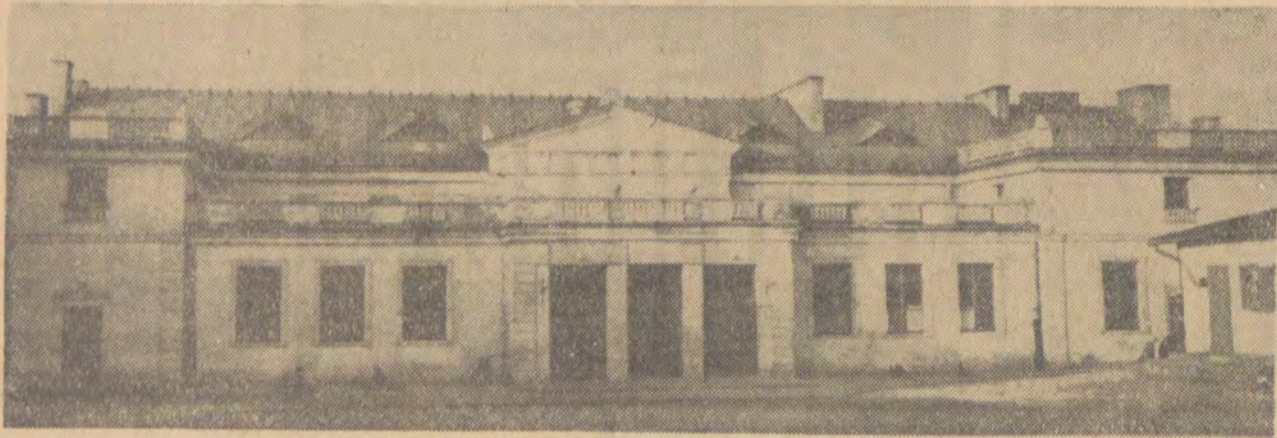
Problem jednak nie polega chyba na tym, jak oceniają kulturę masową dwa przeciwstawne sobie ideologicznie obozy, ile na tym — jakimi treściami się ją wypełnia i według jakich zasad upowszechnia, a mianowicie, czy na zasadzie komercyjnej (zysku), czy na zasadzie wyboru (polityki kulturalnej). W pierwszym wypadku niebezpieczeństwo szmiry jest nieuniknione i stąd — rozpaczliwe głosy o „piekle naszego wieku i antykulturze”, w drugim — umiejętna i zdecydowana polityka kulturalna może zmniejszyć niebezpieczeństwo przekazywania wartości nieautentycznych do minimum.

PIEKŁO CZY RAJ?

NIELATWO odpowiedzieć na pytanie zawarte w powyższym podtytule. Kultura masowa w ustrojach demokracji ludowej wystawiona jest na inne poważne zagrożenie, wynikające z nadmiaru i różnorodności prezentowanych konsumentom wartości estetycznych. Pisał o tym przekonywująco w nr 13 „Teatru” w artykule „Nowoczesny homo ludens” Andrzej Kijowski. Pisząc o wrażliwości współczesnego człowieka kulturalnego miał on wprawdzie na uwadze ludzi, przygotowanych w mniejszym lub większym stopniu do odbioru treści artystycznych, ale mutantów — wobec nacisku różnorodnych konwencji z różnych dziedzin sztuki, upowszechnianych przez radio, telewizję i film — wszystko, co pisał o nowoczesnym człowieku, odnosi się również do odbiorców o niższym poziomie wrażliwości estetycznej.

Zasadnicza teza Kijowskiego brzmi, że człowiek współczesny „podporządkowuje się przymusowi, dyktowanemu przez ośrodki życia kulturalnego, zawiera utalentowanym ludziom swej epoki, sprzyja ich poczynaniom w dziedzinie sztuki nawet wtedy, gdy stanowią one zamach na jego przekonania i nawyki”. Zgoda. Teza wydaje się jak najbardziej słuszna. Tylko proszę pomyśleć teraz, co się dzieje w umysłach ludzi o mniej wyrobionej wrażliwości estetycznej, gdy nazajutrz po obejrzeniu „Kobry” włączają telewizor i patrzą z osłupieniem na znakomitą, ale mało komunikatywną „Naszą małą stabilizację” Tadeusza Różewicza? Większość z nich mówi sobie zapewne: „Musiałoby być dobre i wartościowe, skoro pokazują to przez telewizję”. Ale w głowach tych ludzi zapanował zamęt i... gotowość do przyjęcia w przyszłości zarówno jak najbardziej wymyślnej i wyszukanej konwencji artystycznej, jak i — szmiry. W rezultacie wrażliwość tych (mniej wrażliwych) i tamtych (bardziej wyrobionych) pod względem estetycznym ludzi charakteryzuje się tym, że — jak pisze Kijowski — „w dziedzinie sztuki (są) na wszystko gotowi” i nie ich nie może zaskoczyć ani zadziwić. Pół biedy,

Dalszy ciąg na str. 6



SIERADZKI TEATR

Fot. J. Głowacki

MÓWIA, że podróż kształca. Nieprawda. Przynajmniej nie wszystkich. Niekiedy wybierając się na wojaże z góry widać wiedzę z czym spotykają się u celu swej peregrynacji. Taki to wniosek nasuwa się po przeczytaniu artykułu K. Gruszeckiego, zamieszczonego niedawno w „Trybunie Ludu” pt. „Do gwiazd daleko”.

Dalipan, że już po zapoznaniu się ze wstępem wspomnianego „dzieła” o garnia czeka niepomierne zdumienie. Ogłosiło ono bowiem na całą Polskę, nakładem idącym w setki tysięcy egzemplarzy co następuje: „W Warszawie czy Łodzi Sieradz oznacza stary folklor ludowy. Tu nie spotkasz niczego, czasem jakaś babina pokaże się w ledwo widocznym pasiaku. W Warszawie, Łodzi ludzie czytają o wielkim uczonym, który wyszedł z tego miasteczka. Nazwisko Sternfelda (poprawnie pisze się Sztternfelda, taką bowiem pisownię przyjął profesor — przyp. B.W.), znane w świecie rozsławia Sieradz jakby mimochodem. Gdzieś we Francji zapobiegliwy mer obstawiłby główną ulicę popiersiami i tablicami, potwierdzając z cieżką kafejką. Sieradz nie liczy na turystów, ma swoje kłopoty bardzo lokalne, daleko mu do gwiazd.

W całym miasteczku jedynym śladem kulturotwórczości jest mały klub-kawiarnia ZMS „Fafik” otwarty niedawno, już przez zimę nieczynny z proźniczego powodu: brak opału. Dwie knajpki i zbiorowy hotelik (czy hoteliki) letnieją w formie separarek? — przyp. B.W.), z którym milicja ma

dać naopowiadanych K. Gruszeckiemu przez nierzetelnych informatorów, które skwapliwie przyjął na poparcie fałszywej tezy, że skoro miasto powiatowe to musi być „pokryte prowini-

ją region na obu półkulach) Muzeum w Nieborowie i Oddział Muzeum Narodowego w Łowiczu, urządzony za czasów wieloletniej burmistrziny tego miasta, która zrobiła dla niego wiele do-

Profesor, o ile mu czas pozwoli, mógłby nalepić na nich znaczek pocztowy, taki jaki był na ostatniej Waszej przesyłce „Pokój i Ziemia 1963”, lub może inne są o tematyce zbliżonej z działalnością Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężycy oraz o odesłanie na mój adres (konieczny stempeł pocztowy). Bardzo przepraszam za śmiałość. Dlaczego o to proszę, otóż zbieram ciekawostki sieradzkie, do których zaliczyłem sieradzkie koperty z rzadczymi znaczkami i stemplem. Trochę dziwak ze mnie, to prawda, ale cóż zrobić kiedy moje hobby — to Sieradz”.

BARBARA WRZESIŃSKA

Sieradzanie nie GĘSI...

(W odpowiedzi K. Gruszeckiemu)

cjonalną patyną. Zdanko zgrabne, ale kłójące się ze stanem faktycznym. Jaka jest rzeczywistość miasta,

brego — Walerii Gładkówny. Łowickie ma też swych artystów plastyków, oddających wiernie jego piękno, że wspomnę choćby o znanym malarzu Zdzisławie Pagowskim.

To są atuty, których nie posiada Sieradz. Tym bardziej więc musi zadziwiać sukcesami, które nie rozślały go „mimochodem” lecz rzetelnym wkładem pracy jego działaczy, przywiązanych do przeszłości i teraźniejszości swego miasta. Zresztą po co mówić w ich imieniu? Niech mówią sami.

Jak wspominał K. Gruszecki Sieradz jest związany z imieniem profesora Ary Sztternfelda. Mieszkańcy tego miasta, mimo że nie stawiają mu pomników, nie wmurowują tablic pamiętających o swym rodaku. Od kilku lat trwa systematyczna korespondencja między sławnym uczonym a władzami miejskimi i młodzieżą szkolną. Korespondencja ta od dawna zatraćła oficjalny charakter. Staje się coraz bardziej osobista i serdeczna.

Oto co pisał ostatnio do prof. Ary Sztternfelda sekretarz Prezydium MRN w Sieradzu — Jan Matusiak:

„...A teraz wielka prośba. W niniejszej przesyłce znajduje się kilka sieradzkich kopert czystych. Czy Drogi



Jedno z ostatnich zdjęć uczonego. Dr Ary Sztternfeld przy pracy nad obliczaniem orbit sztucznych satelitów Ziemi.

sporo kłopotów. Prowincjonalizm jest patyną, którą trudno zeskrobać, bo to jednak powłoka szczerza”.

Ot i koniec niezbyt długiej frazy artykułu, przypominającego mocno paszkwil. Wszystkie bowiem zawarte w nim stwierdzenia absolutnie mijają się z prawdą. Sa stekiem bzdur, wi-

któremu zdaniem K. Gruszeckiego „Do gwiazd daleko”?

W województwie łódzkim istnieją dwa wyróżniające się prężnością ośrodki kulturotwórcze: łowicki i sieradzki. Od wielu lat trwa między nimi szlachetna rywalizacja o pierwsze miejsce. Łowickie miało lepszy start. Stare tradycje przyciągające turystów, rozwinięta sztuka ludowa (łowickie wycinankarki rozsławia-

ZBIGNIEW NIENACKI

Czy WYDOSTANIEMY SIĘ z dżungli?

Co pewien czas łódzka prasa uprzejmie informuje, ile to wypadków śmiertelnych, a ile mniej groźnych — zdarzyło się na jezdniach naszego miasta. W jednym artykule za wszystko wina się kierowców, bo są nietrzeźwi, jeżdżą z nadmierną szybkością, nie przestrzegają przepisów drogowych. Innym razem za wszystko okazują się winni przechodnie, bo sa rozrągni, nie przechodzą na skrzyżowaniach. Wspomina się o sankcjach, karnych, o profilaktycznych wystawach. A potem — w miesiąc później — znów publikuje się tę samą lub jeszcze groźniejszą statystykę. I znów te same wnioski. Czyżby cała akcja propagandowa związana ze zwiększeniem bezpieczeństwa na ulicach Łodzi okazywała się bezskuteczna?

A może po prostu dzieje się tak — ponieważ artykuły te tylko w części spełniają swoją rolę; nie mogą zaś spełnić jej całkowicie, gdyż dyskretnym milczeniem pomijają sprawy wżelowe?

Łódź — powiedzmy to sobie otwarcie — jest miastem o ulicach fatalnie i niedbale oznakowanych, jest pod tym względem niemal „dżunglą”. Z bogatej kolekcji znaków drogowych stosowanych na całym świecie, Wydział Komunikacji w Łodzi używa zaledwie kilkanaście. Na ośrodku na naszych ulicach szukałbyś znaku: „Uwaga, znajdujesz się na drodze z pierwszeństwem przejazdu”, „Uwaga, tramwaj”, „Uwaga, skrzyżowanie dróg równorzędnych”, „Uwaga, koniec ulicy z pierwszeństwem przejazdu”, „Uwaga, skrzyżowanie z drogą, która nie posiada pierwszeństwa przejazdu”.

W Łodzi zrodziła się teoria, że jak się na przykład, nie postawi znaku „Uwaga, znajdujesz się na drodze z pierwszeństwem przejazdu”, to kierowca będzie jechał ostrożniej, ponieważ nie wie, czy posiada pierwszeństwo przejazdu. Powiedzmy otwarcie: ta teoria jest błędna i fatalna w skutkach. Właśnie dlatego, że dojeżdżając do skrzyżowania, kierowca nie jest poinformowany co to za skrzyżowanie, — i właśnie taki niepewny kierowca powoduje wypadek. W Łodzi uznaje się tylko jeden znak: „Uwaga, dojeżdżasz do drogi z pierwszeństwem przejazdu”. To za mało. Również i kierowca na drodze z pierwszeństwem przejazdu musi być o tym poinformowany — a dlaczego, o tym za chwilę. Znaki drogowe wymyślono nie tylko po to, aby znajdowały się w Kodeksie Drogowym. Znaki drogowe trzeba stosować. Mają one bardzo istotne znaczenie dla sprawnego funkcjonowania wielkiego organizmu komunikacyjnego każdego miasta.

Dla przykładu, małeńka przejażdżka po jednej z typowych łódzkich ulic, ot, po Wólcząńskiej. Ulica ta stanowi w tej chwili dość ważną arterie komunikacyjną, tym istotniejszą, że skrzyżowanie Zeromskiego z Kopernika jest rozkopane.

Wyruszymy od strony Wólcząńskiej i zbliżymy się do skrzyżowania z ul. 22 Lipca.

I tu, pierwszy „klops”. Żadnego znaku. Co w takiej sytuacji czyni kierowca? Zatrzymuje samochód, bo nuż okaże się, że jest to skrzyżowanie równorzędne i trzeba dać pierwszeństwo jadącemu z prawej strony ul. 22 Lipca? A właśnie z tamtej strony pędzi ku nam auto. Zatrzymaliśmy się, aby dać mu pierwszeństwo, lecz tamten kierowca także się zatrzymał. Nie wiemy dlaczego. On wie — bo on ma znak, że posiadamy pierwszeństwo. Ale my o tym nie wiemy, tylko on. Więc on stoi i my stoimy, a za nami sznur aut, bo to jest arteria przelotowa. Za nami trąbka, klą, wreszcie ktoś krzyczy: „Jedziesz pan po drodze z pierwszeństwem przejazdu”. Więc pan dziękujesz i zadowolony jedziesz dalej. Przy skrzyżowaniu z Zamenhofa — ta sama historia — żadnego znaku. Zatrzymałeś się, chciałeś przepuścić pojazd z prawej, ale on też stanął, i tak trochę staliście, aż cie skłękli inni kierowcy. No — myślisz sobie — na następnym skrzyżowaniu już nie dam się nabrać, pojedę pierwszy, bo przecie nie mogę tamować ruchu. Przejechałeś w ten sposób skrzyżowanie z Mickiewicza, zauważyłeś, że facet z prawej strony grzecznie cie przepuścił. Suniesz więc dalej, do Żwirki, i tu... buch, kraksa, krzyk, pogotowie ratunkowe i milicyjne. Bo wprawdzie tu także nie było żadnego znaku, ale to jest skrzyżowanie równorzędne. I najechałeś na pojazd, który jechał z prawej strony.

Nie trzeba być psychologiem, żeby zdawać sobie sprawę, że jeśli kierowca przejeżdża tą samą ulicą przez trzy skrzyżowania bez żadnego znaku i na tych trzech skrzyżowaniach przekonuje się, że posiada pierwszeństwo przejazdu, to i na czwartym skrzyżowaniu (także bez żadnego znaku), będzie sądził, że może przejechać korzystając z pierwszeństwa. I tu zdarzyć się może nieszczęście! A przecież wystarczy postawić znak informujący, że jedzie droga posiadająca pierwszeństwo przejazdu, a potem ten znak odwołać, właśnie przed skrzyżowaniem równorzędnym, wtedy uniknie się wielu nieszczęść.

Podobne jak Wólcząńska pułapki gotuje u nas niemal każda ulica. Teoretycznie bowiem — w Łodzi nie ma ulicy posiadającej pierwszeństwo przejazdu. Są tylko skrzyżowania z ulicą posiadającą pierwszeństwo przejazdu. Wyobraźcie sobie, cóż to za nonsens? Nie ma ulic z pierwszeństwem przejazdu, a są skrzyżowania z ulicami posiadającymi pierwszeństwo przejazdu. Teoretycznie — taki nonsens jest możliwy. W praktyce — przynosi skutki fatalne. Nie wolno nonsensów możliwych w teorii stosować w praktyce. Praktyka bowiem okazuje się wtedy przykra i szkodliwa i dlatego, nie, zgodna jest z psychologią kierowcy.

Na ulicach Łodzi są też od nonsensów. Konia z rzedem temu, który powie, dlaczego ul. Mickiewicza jest podporządkowana ul. Wólcząńskiej, i Gdańskiej, a na przykład ul. Żwirki jest równorzędna w stosunku do tejże Wólcząńskiej i tejże Gdańskiej? Wszak Żwirki to zwykła boczna ulica, a Mickiewicza? Stanowi przedłużenie jednej z głównych arterii — od Tomaszowa, od Widzewa. Żwirki kończy się przy Zeromskiego, a Mickiewicza przechodzi w Łakowa, łącząc z Wytównią Filmową, z Dworcem Kałiskim, stanowi najkrótsze połączenie z Zeromskiego i dalej, z Obrońców Stalingradu itd. A jednak ta ulica jest podporządkowana, a in-

str. 2 **odgłosy**

Dalszy ciąg na str. 7

Dalszy ciąg na str. 8

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Pasja drewniana wokół stołu

(Wacławowi Kondkowi)

W moim stole
fale
słoje
sfalowane wiatry
drewniane
lata w słojach
zaszle
wody nieprzebrane
liście i owoce
kornik jak sekundnik
w słojach
— nakręcany
w sfalowanych falach
jeszcze słońce
świeci
i o słoń złotawy
słowik smyczek
ostrzy
w słoju sfalowanym
jeszcze gra
siekiera
pila...
stolarz
ręką drewnianą
las mi w dom
wymościli...

W domu poety

Zimno tu Włodka
nasz dom
źle polatany
wigilla
więc polamiemy się
myślami
nie przyjdzie do nas
trójkątny Mikołaj
nie rozsunie ściany
choć głowa przy głowie
nie przyniesie nam łąy
na but
ani ćwiartki
może order
na grób...
skrzatów po kątach
oczy błyszczą
nazbyt realne
— mróz
i wiatr za oknem osiadłany
i wiatr za oknem osiadłany



Na równinie
gdzie zasiali ciszę
i lagodne fiołki
jakbym zobaczył
nagle
— twoje oczy...
nawet cień
byłby tu
zbyt głośny
— otwórzcie mi drzwi
kiedy pukam w przestrzeń
jak zmęczony Odys
kiedy
kiedy ułożysz
dotyk na mej skroni...

Już prawie pięć lat minęło od tych radosnych chwil, kiedy gra piłkarzy LKS wzbudzała entuzjazm na widowni, a rozentangmowani kibice śpiewali po każdej niemal strzelonej bramce i po zwycięskim meczu: „O, LKS to klub nasz jest... Gdy Baran gra to każdy drga...”. Od pamiętnej jesieni 1958 r., kiedy łódzcy piłkarze zdobyli tytuł mistrza I ligi i wygrali turniej o Puchar Polski — powoli lecz stale zaczęło się coś „psuć w państwie duńskim”. Zespół grał coraz słabiej, a od trzech lat widmo spadku stale denerwuje drużynę, wprowadza w rozgoryczenie działaczy, a wierni kibice rozpaczają i klną... chociaż na mecze chodzą.

Przed kilku tygodniami na łamach „Ogłosów” ukazał się obszerny artykuł omawiający szczegółowo karierę piłkarską pomocnika Sarw, w którym autor zarzuca klubowi brak należytej opieki nad tym obiecującym ongi juniorem. W lapidarnym skrócie da się to

się od spadku z ligi. Istotnie, każde załamanie psychiczne zespołu i ludzi, którzy się nim opiekują, w tych niebezpiecznych chwilach mogłoby pogłębić zapaść i doprowadzić do pozabawienia Łodzi możliwości oglądania spotkań pierwszoligowych. W chwili obecnej, kiedy wkraczamy w nowy sezon piłkarski 1963-64 i drużynie na razie nie grozi można pokusić się o próbe analizy kryzysu, który — co tu ukrywać — trwa już trzeci rok.

Jakie są główne przyczyny tego stanu rzeczy? Dada się one — jak sądzi — ująć w kilku punktach, które później postaram się szczegółowo przeanalizować:

- a) zła polityka kadrowa od kilku lat,
- b) brak energicznych decyzji u trenerów i w kierownictwie sekcji piłki nożnej,
- c) dziwna tolerancja zarządu w omawianych kwestiach i niechęć do radykalnych zmian, które narzuca przecież konieczność,
- d) nie kończące się ekspe-

rymentowanie, a wobec niepowodzeń i widma spadku zła polityka — nie oparta na z góry określonym planie — brak koncepcji racjonalnego treningu opartego na nowoczesnych wzorach.

e) a gdy w końcu postawiono na młodzież nie przygotowaną do trudnych zadań — wprowadzono nowy eksperyment z zastosowaniem systemu 1-4-2-1.

Dla tych wszystkich, którzy choć trochę znają się na piłkarstwie, wiadoma rzeczą było, że LKS zdobywając mistrzostwo Polski osiągnął szczyt swojej formy. Zawodnicy ligowej jedenastki nie byli już pierwszej młodzieży, rozleciała się żelazna dwójka pomocników: Grzywocz — Jańczyk, a kilku piłkarzy nie zawsze prowadziło sportowy tryb życia. Nie zwracano na to zbyt wielkiej uwagi. Tajemnicza poliszynela było, że Szymborski wraz z wieloma kolegami — często dużo młodszymi od niego, wiele nocy w tygodniu spędza na parkiecie lokalu „Casanova”. Nie można się więc dziwić, że gdy go ktoś tam spotyka w „dość wesołym stanie”, a nazajutrz lub w niedzielę widzi w roli nieudolnego kierownika napadu — zna powody jego złej gry i nie dziwi się dlaczego „Szymbor” i partnerzy tak niemrawo poruszają się po zielonej murawie. Niestety tych przyczyn nie analizowało, czy nie chciało widzieć do niedawna — kierownictwo sekcji piłkarskiej LKS.

Od przeszło trzech lat zaczęła w klubie podraść obiecująca młodzież piłkarska Suski, Sass, Sarna, Białas, Dawidczyński, Orczykowski i inni. Zawodnicy ci powołani byli niejednokrotnie do reprezentacji Polski juniorów. Grali nawet bardzo dobre mecze. Przed rokiem „młoda gwardia” powiększyli Kowarski, Szule i Kaczmarek. Ostatnio w 1962 roku ci młodzi piłkarze zdobyli dla LKS mistrzostwo Polski juniorów. Zdobywali uznanie selekcyjnerów PZPN, ale nie było dla nich miejsca w pierwszej drużynie LKS. W tym właśnie czasie dwukrotnie „elkasiacy” ratują się w ostatniej chwili od degradacji, a Szymborski, Wieteski, Kowalec, czy wspanialej wartości „nabytki” jak — Maślanka, Kacprzyk, Łazarek, Hliwa i Lorent grają coraz gorzej. Odezwały się pierwsze głosy opinii publicznej, w artykułach dziennika-

Kowalskiego próbowano na stoperze, w pomocy i na łączniku. Suski też wędrował od obrony aż po atak. Ta karuzela doprowadzała w wielu wypadkach do absurdów, szukano „rodzynek” w worku z... plewami.

Co gorsza od paru lat trenerzy (przedtem p. Baran) wprowadzili dziwny obyczaj ustalania składu drużyny na mecze ligowe w ostatniej chwili przed spotkaniem. Tak więc biorąc pod uwagę 17 czy 16 nazwisk nie decydowano w czwartek czy w piątek kto będzie grał w niedzielę. Ten brak decyzji i stanowczości doprowadził do oślapanych skutków, zwłaszcza wśród młodszych zawodników. Zaden z nich nie był w możności przygotować się psychicznie do ciężkiego meczu, gdyż po prostu nie wiedział czy będzie grał. Okres ciągłych zmian i eksperymentów trwa nieprzerwanie trzeci sezon i właściwie do czerwca bieżącego roku nie wiele, a właściwie prawie nic się nie zmieniło. Starzy, wysłużeni już zawodnicy, którzy czerpiąc z udziału w pierwszoligowym zespole niemal korzyści finansowe — zmieniali tylko pozycje, obojętną rzeczą była ich aktualna forma.

A przecież nie zawsze powinna decydować o wyborze piłkarza do zespołu jego postawa na treningach, zresztą prowadzonych starym systemem i bez planu. Trzeba orientować się czy nie ma on jakichś kłopotów rodzinnych lub osobistych — jaki tryb życia prowadzi. Czy tymi zagadnieniami interesowali się dwaj ostatni trenerzy LKS lub ktoś z kierownictwa sekcji? Czy zaglądano do mieszkań piłkarzy, czy tylko dbano o to by dostarczyć im mieszkania z telewizorami i meblami? Czy te problemy przywiązania zawodnika do klubu były tematem zebrań sekcji z piłkarzami? Niech na te pytania odpowiedzą ci, którzy podjęli się nielatwej roli prowadzenia sekcji piłkarskiej LKS.

Oczywiście, podjęcie decyzji radykalnych cięć i zmian nie jest rzeczą łatwą. Jestem jednak skłonny twierdzić, że Zarząd LKS widząc że wszyscy nieudomagania nie potrafił, ba, nawet wręcz nie chciał wcześniej przeciwić nie dających eksperymentów, milczał też wobec nieudowodnionego losowi bieg wydarzeń i interweniował jedynie od

przypadku do przypadku. Toleruje się fakty, które wpływają ujemnie na kondycję drużyny. Dla przykładu: zawodnikom należy się zwrot pieniędzy za przejazd I klasą pociągu pospiesznego i za diety. Tymczasem zezwala się na wyjazd zespołu II klasą pociągu osobowego na bilety turystyczne (grupa ponad 10 osób). W ten sposób zaoszczędzone pieniądze na podróży w gorszych warunkach pozostają w portfelach piłkarzy, ale że taka podróz wpływa ujemnie na ich samopoczucie i kondycję — tym Zarząd się nie interesuje. Bo co tu dużo ukrywać, niektórym wysłużonym reprezentantom LKS chodzi o uzyskanie najwyższych zarobków — mniej o rezultat meczu, choć i 600 złotych za wygrany mecz piechotą nie chodzi!

Na ostatnim walnym zebraniu krytykowany Zarząd, że w sekcji piłkarskiej zbyt mało jest fachowców. Tu nie wystarczy być entuzjastą piłkarstwa. Trzeba być zapalcem, społecznikiem i znawcą. Czy z tych słusznych zresztą uwag wyciągnięto odpowiednie wnioski? Wydaje się, że nie, a to jest grzech, którego się nie wybacza.

I wreszcie nadeszła wiosna bieżącego roku — druga runda rozgrywek. Znowu pupil publiczności łódzkiej zaczyna przegrzywać. Piłkarze, których wymieniliśmy, zmieniają jedynie pozycje i... grają coraz gorzej. Szalę gorczy przechylił osławiony mecz z Lechią przegrany skandalicznie przez LKS i niesławne „popisy gdańskie” niektórych „filarów” biało-czerwonych. Zarząd i sekcja doszły nareszcie do wniosku, że z tymi zawodnikami żadnych sukcesów się nie odniesie, a drużyna będzie musiała opuścić ekstraklasę. Nareszcie — gdyż ten fakt powinien być następnym — zdecydowano się odmłodzić zespół. Wyeliminowano Szymborskiego, Kowalec, Wieteskiego, Hliwa — na ich miejsce zagrali młodzi piłkarze. I o dziwo, te „młokosy” (w mniemaniu niektórych działaczy LKS, gdyż nie są to już juniorzy) pokonały Wisłę 3:0. Stawiam każdemu sumę, że gdyby nie dokonano drastycznych cięć — LKS w poprzednim zestawieniu przegrałby mecz z Wisłą. Po tem przyszedł remis 0:0 z Legią w Warszawie — i Liga została uratowana.

Gdy wydawało się, że odmłodzona drużyna zaczyna się kondensować i osiąga lepsze rezultaty — trener wpada na pomysł wprowadzenia stosowanego przez Brazylijczyków systemu 1-4-2-4. Ten jeszcze niezbyt otrząskany z pierwszoligowymi bojami odmłodzony garnitur, zaczyna się gwałtownie „przenicowywać” na nowy system gry. Rezultat tego nierozważnego i nieprzemysłanego pociągnięcia nie dał długo na siebie czekać. W meczu łódzkim z Legią przegranym przez łódzian 1:4 trener wystawił do drużyny — chcąc stosować nowy system 1-4-2-4 „tylko” 7 (słownie siedmiu), nie licząc bramkarza, obrońców i pomocników, a napastników... 3. Powstał taki chaos w obronie i zupełny bezład napadu, że Legia nie miała trudności z wywiezieniem z Łodzi dwóch punktów. A trzeba przypomnieć, że drużyna wojskowych na gruncie łódzkim nie wygrywała z LKS od lat! Znowu zabrakło fachowca, który by w porę ostrzegł i zapobiegł złemu zestawieniu drużyny. Słyszałem głosy, że to trener Król przegrał mecz z Legią i chyba tak było istotnie.

Jest jeszcze wiele problemów, które cisną się pod pióro przy omawianiu sytuacji drużyny i jej kierownictwa, jednego z najstarszych klubów w Polsce. Nie rozszczę sobie pretensji, by je wszystkie wyzerpać. Nie stawiam też końcowych wniosków — choć są one oczywiście dla każdego niemal kibica piłkarskiego. Artykuł ten powinien — jak mniemam — zapoczątkować dyskusję, której jedynym celem jest dobro LKS i wybrnięcie z niełatwego impasu, który trwa, niestety, zbyt długo.

ZBIGNIEW SKIBICKI



określić mniej więcej tak: widzieliście w Sarnie tylko piłkarza, na wychowanie tego zawodnika, jego osiągnięcia w nauce nie zwracaliście uwagi, a przecież kiedyś chłopiec ten przestanie grać w piłkę i co z nim będzie?

Nie wdaje się w polemikę z autorem artykułu, który wiele rzeczy przejąskrawił, wiele niedomówił i dużo napisał prawdy. Racja — jak to zwykle bywa w takich wypadkach, leży gdzieś po środku. Celem tego artykułu, jak mi się wydaje, była intencja redakcji „Ogłosów” rozpoznać publicznej dyskusji na temat sytuacji w LKS. Celu tego niestety nie osiągnięto. Wprawdzie artykuł o Sarnie poruszył „do żywego” działaczy klubu, oburzył niektórych członków Zarządu, ale na replikę, czy wyjaśnienie nikt się nie zdobył. Ponoć zbiera się obfite materiały, które mają posłużyć do sprostowania. Dziś można śmiało powiedzieć, że test to przyśłowia „musztarda po obiedzie”, gdyż po wielu ty-



godniach nikt nie pamięta co autor napisał. Osobiście wydaje mi się, że działacze LKS — oburzeni początkowo — doszli w końcu do wniosku, że lepiej sprawę zostawić czasowi — dni bieżąca „casus Sarna” pójdzie w zapomnienie.

Podzielam zdanie i opinie tych, którzy uważali, że o drażliwych problemach piłkarskich LKS nie należy pisać, ani rozstrzygać sprawy w okresie, gdy drużyna ratuje

S O P O T

po raz trzeci

Dalszy ciąg ze str. 1

za to piosenki zagraniczne — widocznie na lansowaniu szczególnie tych nam zależy. Trzecim, ale nie ostatnim nieporozumieniem był skład ekipy polskiej. Nie sądzę, aby piosenkarze, którzy wystąpili na tegorocznym Festiwalu umieli najlepiej



Willi Brandes popularny piosenkarz NRF

zareklamować polskie, zupeł nie przeciętne w tym roku piosenki.

Zaczęło się wszystko niesłychanie uroczyste — 60 ki lowatów światła na świetną dekorację sceny zaprojektowaną przez Lecha Zahorskiego go, bliski fleszy, cztery kamery telewizyjne i sygnał Festiwalu wykonany przez połączone siły orkiestr Rachonia i Czernego. Potem prezentacja imponującego — zarówno liczbą (27 osób) jak i składem osobowym międzynarodowego jury i wyście tradycyjnych już zdobywców różnego koloru „Masek” kon feransjerów III Festiwalu Irenę Dziedzic i Lucjana Ky dryńskiego. (Mówiło się potem, że lepsze „wyście” mia ła tylko Gina Leon z Kuby). W tych wszystkich światłach i blaskach nabrała nawet dość przyzwoitego wyglądu hala Stoczni Gdańskiej. Ale też i na tym kończą się chyba silne wrażenia Polskiego Dnia Festiwalu, jeśli już nie wspominać o radiofonizacji hali, dzięki której publiczność nie słyszała i całkowicie w braku wentylacji. Bo później światła jakby przys gasy i zapanowała atmosfera szarości i zniechęcenia. Z 15 polskich wykonawców i wykonawców moge ocenić — niezadowolony lub pozytywnie — tylko 6, ponieważ 6 osób pamiętam. Reszta przeszła — i sądzę, że te opinie podzieli ła większość publiczności — bez najmniejszego wrażenia. Dotyczy to zarówno tych wy konawców, którzy debiutowa ła w Festiwalu, jak i Ireny Santor, która śpiewała po raz trzeci.

Mówiąc o pozytywach trze ba zacząć od Ewy Demarczyk. Ta młoda dziewczyna, studentka PWST z Krakowa, zrobiła błyskawiczną i cał kowicie zasłużoną karierę lansując z pełnym powodze niem bardzo trudne melodie pisane do bardzo trudnych wierszy. Jest to niewątpliwie

zjawisko. Jeśli nie błysnęło na tegorocznym Festiwalu pełnym blaskiem to już wina niekameranych, złych dla tego rodzaju warunków.

Maria Koterbska, piosen karka znana już od bardzo długiego czasu zrobiła ostatnio w szkole „Wagabundy” duże postępy; potrafi już piosenkę nie tylko zaśpie wać, ale i nieźle aktorsko wygrać. Sądzę, że można ją uznać za jedną z bardzo nie wielu polskich piosenkarek, które można bez uczucia za żenowania, pokazać za grani cą. Na następnych miejscach w tej bardzo prowizorycznej „tabeli klasyfikacyjnej” po stawimy Katarzynę Bovery, dysponującą ładnym i w naturalny sposób ustawionym głosem Regine Pisarek, oraz Lenę Baciarelli — jedną do dziankę w polskiej ekipie. Do nieporozumień zupełnie tragicznych i kompromitują cych zaliczyłbym trzy piosen karki: Fryderykę Elkana, Danutę Rinn, Barbarę Rylską, Barbarę Rylską, jak wiado mo wszystkim telewizjom, przekroczyła wszelkie granice dobrego smaku. Jeśli jednak granice dobrego smaku prze kraża piosenkarzka znana, ak torka filmowa i radiowa bar dzo w kraju popularna, czy ni to na własny użytek i od powiedzialność, ktoś natomiast musi odpowiadać za to, że na poważnej międzynarodowej imprezie reprezentuje Polskę piosenkarzka tak bardzo zła jak Danuta Rinn, lub tak reżysero ko ustawiona jak Elka na. Ktoś, kto ten program reżyserował musiał mieć abso lutnie swoiste pojęcie o ar tystycznym smaku, jeśli do puścił do tego, że piosenkar ka tak fundamentalnie zbudo wana jak Elkana przyberała przed mikrofonem (budząc rozgłosny śmiech) pozy nie winnego dziewczęcia na łące pełnej kwiecica. Reżyseria w ogóle sprawiła, że koncert ten wyglądał nie jak impre za muzyczna a raczej konkurs kulturytyki — tak wiele było prężnego a zupełnie zbęd nego gestu.

Takie z grubsza biorąc są wrażenia z polskiego dnia Festiwalu. I tych nie najlep szych wrażeń nie zdolali we mnie zatrzeć pełne spokojne go zadowolenia opinie dyrek torów PAGART-u. Powtarza ne przez nich glosy obserwato rów zagranicznych wyda ją mi się niezbyt odległe od grzesznościowych komplemen tów.

Byłoby oczywiście sporą przesadą twierdzić, że Dzień Międzynarodowy Festiwalu dostarczył niezapomnianych wrażeń artystycznych. I tutaj nie usłyszeliśmy przebojów, które na długo pozostają w pamięci. Najciekawsza piosen ka okazała się laureatka zesz łorocznej nagrody, grecka pio senka „Ti Krima” Plessasa i Kindynisa, inteligentnie zro biona, ale dość banalna i po zbawiona większych wartości artystycznych, piosenka nie miecka „O Valentino” oraz radziecka „Niech zawsze be dzie słońce” mająca raczej cechy typowej pieśni maso wej. Fakt, że Dzień Międzynarodowy był koncertem ciekawym zawiązujemy prze de wszystkim do dobrego na ogół (poza reprezentkami Ang lii, Austrii, Szwecji, NRD i Węgier) składowi piosenkarzy zagranicznych. Wśród nich należy wyróżnić przede wszyst kim Jean-Pierre Verlanda z Kanady, Willi Brandesa z NRF, Holendra Edwina Rutte na i Ilianę Rovinę z Izraela. Uroczą i niezwykle sympatyczną Tamara Mjansarowa „przegrała” trochę moim zda niem prościutką i łatwo wpa dającą w ucho piosenkę Ostrowskiego.

Niemal wszyscy piosenkarze zagraniczni zademonstrowali dobre warunki głosowe, spore zdolności aktorskie i to, co nazywamy solidnym rzemieś lem piosenkarskim. Potwier dziło się to w trzecim dniu

Festiwalu, w którym piosen karze zagraniczni śpiewali piosenki polskie. Odkryliśmy wtedy z niemalym zdumie niem, że mamy kilka świet nych przebojowych piosenek. Jean Pierre Verland uczynił z ogranego do znużenia „Pierwszego siwego włosa” świetną francuską piosenkę kabaretową. Willi Brandes pięknie zaśpiewał „Noce Canto” Klimczuka, podobały się w obu wykonaniach łódz kie „Parasolki”, a zupełna re welacja okazała się piosenka Szpilmana „Do widzenia Ted dy” śpiewana przez Holendra Ruttena z kolosalnym wyczu ciem swingu, niezwykle swo bodnie i czysto.

Jak to się stało, że nie zau wżyliśmy tylu polskich pio senek? Myślę, że jest to wina tego, że piosenki w Pol sce nagrywa się tylko raz. Żadna „szanująca się” pio senkarzka polska nie śpie wa piosenki już przez ko goś nagranej. Nowa pio senka raz zaaranżowana i nagrana idzie w świat i musi walczyć o uznanie publicz ności tym właśnie jedynym, często nieciekawym nagra niem. Tymczasem lansowanie przeboju polega, właśnie na poszukiwaniach najwłaściwsz ego wykonawcy i najbardziej interesującego aranżu. Przy zywczajeni do jednego wyko nawcy i zawsze tej samej aranżacji nie poznawaliśmy wprost niekiedy polskich pio senek śpiewanych na Festiwa lu.

W czwartym dniu Festiwalu przypomnieliśmy sobie o sta rej i prawdziwej zasadzie: przeboj tworzy kompozytor, wykonawca i aranżer. Na tle z reguły bardzo pomyslowo zorkiestrowanych i ciekawie zaaranżowanych piosenek za granicznych cztery polskie piosenki — laureatki wypadły dość blado. Prawdziwym nieszcześciem jest fakt, że w tej dziedzinie utkwiliśmy w przeżytych starych szablonach. W przeciągu całego Festiwalu za ledwie jedna aranżacja pol skiej piosenki („Na parę dni, na kilka godzin” Żuka i Gie giera, śpiewała Dana Lerska) wzbudziła pewne zainteresowa nie, chociaż o dziwo, akompa niowała wtedy piosenkarce orkiestra Czernego. Piszę „o



Ulubienica publiczności, pol ska piosenkarzka Katarzyna Bovery.

dziwo” gdyż nie ulega wątpli wości, że zespół ten był o pa re klas słabszy od orkiestry Rachonia. Jest faktem budzą cym właśnie zdumienie, że wysokie władze Radia nie po trafia się zdobyć na zasadni cze reformy w tym jedynym przeciw Polskim Radio big bandzie. Orkiestra Czerne go grała źle już dwa lata temu (o czym nie omieszkałem po informować czytelników w sprawozdaniu z I Festiwalu), teraz jednak ustaliła się na poziomie, który już chyba nie może być gorszy. Brak najmniejszej inwencji w orkiestrowaniu utworów, trzy manie się dawno przestarza łego szablonu, i dysonansowe „zjazdy” mające znamio nować nowoczesność — wszyst ko to sprawia, że trudno słuchać tego zespołu bez uczu cia irytacji. Aczkolwiek nie podzielałam w pełni ogromnych zachwytyw gości zagranicz nych nad orkiestrą Rachonia, przyznaję, że w wyżej opisa nym „towarzystwie” wyraż nie błyszczała i robiła bar dzo korzystne wrażenie.

III Międzynarodowy Fes tiwal Piosenki w Sopocie za kończył się. Mimo wszystkich rozczarowań będziemy teraz czekać na następny. Nie tyl ko dlatego, że zdążyliśmy się już do tego dorocznego świa ta piosenki przyzwyczaić. Be dzieśmy mieli nadzieję, że IV Festiwal (może już nie w Sopocie — bo, jak twier dza organizatorzy — władze Trójmiasta i publiczność Wy brzeża nie otaczają tej impre zy należytym zainteresowa niem i opieką) przyniesie nam mniej rozczarowań, a więcej prawdziwych odkryć i — jak mawia Kydryński — rewelacji. Czas zaś oczekiwania be dzieśmy sobie urozmaicali szu kaniem w eterze polskich pio senek wykonywanych za grani cą. Chyba w tym roku nie będzie ich zbyt wiele. I moim zdaniem, to dobrze, że jesz cze trochę poczekamy.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Dwudziesty rok szkolny w Polsce Ludowej

Dokończenie ze str. 1

i porywające perspektywy tego, co zrobić należy i co zrobić można we wszelkich dziedzinach ludzkiego dzia łania.

Tak chyba należy rozu mić zadania, jakie przed szkołą polską postawił i se kretarz KC naszej Partii! „Chodzi o dokonanie ta kich przeobrażeń w prakty ce szkolnej, w organizacji i metodach pracy z młodzie żą, aby całokształt poczyna nia nauczycieli i młodzieży sprzyjał w umacnianiu wię zi młodego pokolenia z par tią, z wysiłkiem klasy ro-

botniczej i najlepszych sił narodu, tworzących nowe wartości, podstawę dalszego rozwoju naszej ojczyzny. Dopiero taka atmosfera sprzyjać będzie wychowa niu młodzieży wszech stronnie rozwiniętej, zaangażo wanej społecznie, aktywnej i twórczej, rozumiejącej znaczenie dokonanych przemian w Polsce i gotowej do kontynuowania roz poczętego dzieła rewolucji”. Te zadania ujęte, rzecz zrozumięła, b. ogólnie choć szeroko znajdują niewątpliwie właściwy wyraz w przemia nach jakie zajądą w pracy naszych szkół.

Przemiany te dotyczą już treści programów nauczania,

podręczników, lektury, orga nizacji pracy dydaktyczno wychowawczej. Konkretyzacja ostateczna tych prze mian dokonywać się będzie przy aktywnym udziale o gółu nauczycielstwa.

Już dziś jednak nie cze kając na „odgórne wytycze ne” w każdej placówce oświatowo-wychowawczej w maksymalnym stopniu musi wciągnąć się do pracy nad zwiększeniem efektywności wychowania organizacja par tyjna i związkowa, komitet rodzicielski i opiekunów i sama młodzież: ZHP, ZMS, samorząd szkolny i in.

Zbliżyć należy młodzież nie tylko do wielkich współczesnych osiągnięć nauki, techniki i sztuki, zaznajo mić nie tylko z przemiana mi, które się dokonują na świecie ale również ukazy wać przemiany zachodzące w naszym mieście, w dziel nicy, w najbliższym otocze niu dziecka. Niechaj staną mu się bliskie plany rozwo ju rodzinnego miasta, niech się zaznajamia z pracą rad narodowych, Frontu Jedno ści Narodu, niech się w gro nie współkolegów zastanawia nad tym, co by należało pop rawić, zmienić, w jaki spo sób mógłby pomóc, żeby i jemu i jego najbliższemu ży ło się coraz lepiej, przyjem niej. Niech się pod madrą opieką nauczyciela przygo towuje do praktycznego działania społecznego w pań stwie, którego będzie współ gospodarzem.

Każdy nauczyciel u progu tego „roku dwudziestolecia” zastanowić się musi, prze myśleć, co winien w meto dach swej pracy dydaktycz nej, jak i oddziaływania wy chowawczego, zmienić dla lepszego przygotowania swoich wychowanków do niedługiej już służby w Lu dowej Ojczyźnie.

M. WOŹNIAKOWSKI

Co w terenie

Nietypowa drużyna

Różne są drużyny harcerskie. Różnymi sprawami się zajmu ją. Ale ta drużyna z Tomaszowa Mazowieckiego jest dru żyna specjalna. Niewiele takich znajdujemy w województwie łódzkim; a myślę nawet, że niewiele jej podobnych znaleźć można nawet w całej Polsce. Drużyna z Tomaszowa Mazo wieckiego bowiem udaje — i to na serio — strażaków. Bawi się w strażaków. Ale zabawa ta przynosi nadspodziewanie pozytywne wyniki. Drużyna cieszy się wielkim autorytetem, nie tylko u swoich rówieśników, lecz posiada poważanie u swoich starszych i od lat pracujących w zawodzie strażac kim kolegów. Bo ta drużyna stanowi jakby ochotniczą jed nostkę strażacką. Zdarza się nawet i tak, że jeździ na miej sca pożarów. Dziewczęta, przeszkolone jako sanitariuszki, o kazują się podczas takich okazji prawdziwą pomocą. Na pe wno zaś nie mdleją na widok ognia. Drużyna harcerska z Tomaszowa, poza tym, że posiada specjalne umundurowanie, wyposażenie — kropka w kropkę takie, jakie mają prawdzi wi strażacy, poza tym, że posiada samochód (tak, proszę państwa, nawet samochód), uprawia żywą działalność pro filaktyczną wśród mieszkańców naszego województwa. Jeź dzi w teren z odczytami i prelekcjami, uświadamia miesz kańców o przepisach bezpieczeństwa, zwraca uwagę dzie ciom, żeby nie bawić się zapalnikami, pilnuje dzieci w czasie prac w polu, prowadzi ogniska przedszkolne — słowem, po maga jak może w trudnej pracy straży ogniowej. Pomaga też przy budowaniu na wsiach zbiorników z wodą; szkoli się z zapalem w zajęciach przeciwpożarowych. Wojewódzka Komenda Straży Pożarnej w Łodzi wyraża się o drużynie harc erskiej z najwyższym uznaniem i... rozczuleniem: wysuwa ją jednocześnie postulat pod adresem władz młodzieżowych, aby takich drużyn, zajmujących się tak pożyteczną społecz nie działalnością, powstało w naszym województwie więcej.



Reprezentantka Kuby, Gina Leon.

Zdjęcia: E. Broniarek

informacje i zapiski

Ogromne sumy przekazał tożsamość w ciągu ostatnich lat do PKO. Same wypłaty premii przekroczyły sumę dwu milionów złotych. W jednym tylko okręgu Łódzkiem wylosowano ponadto 108 samochodów i 50 motocykli. Wniosek — warto oszczędzać. Nawet jeśli się nie ma szczęścia w losowaniu.

Otwiera w Łodzi swe podwoje wypożyczalnia... samochodów. Stacja dysponować będzie 15 „Warszawami”. Ceny nawet nie takie słone. Parogodzinny weekend w Łodzi — przejeżdżamy się — przejeżdżamy na oświecenie jarzeniowe i rzeźbiarstwo. A może by jednak przenieść parę tych antyków i oświetlić nimi krótkie uliczki w rejonie Starego Rynku?

Żył tylko 114 gazowych latarni pozostało w naszym mieście i każdy miesiąc zmniejsza ich liczbę. Europejskimy się — przechodzimy na oświetlenie jarzeniowe i rzeźbiarstwo. A może by jednak przenieść parę tych antyków i oświetlić nimi krótkie uliczki w rejonie Starego Rynku?

Łódzcy taternicy, którzy pojechali na Daleki Wschód zdobywać Hinduskę jak dotychczas specjalizują się w pisanu korespondencji do gazet. Dwa łódzkie dzienniki w związku z tym prowadzą ciekawą rywalizację. W czwartek w „Głosie” piśmie o Kabulu Michalski, w niedzielę w „Dzienniku” o Kabulu — Wilczkowski. Pod koniec wypraw osłodziły stosunek korespondencji i jej ilość, która bez względu na wyniki wspinaczkowej będzie na pewno zawrotna.

Prawie 250 drzew uschło w śródmieściu Łodzi na skutek upałów. Stanowi to liczbę dwukrotnie wyższą niż liczba drzew zmarłych ostatniej zimy. Wystarczyło tylko trochę wody i nieco dobrej woli dozorców, aby uratować część jakże uboższego łódzkiego drzewostanu.

Wrzesień przyniesie nam odsłonięcie nowego pomnika. Jak od dawna zapowiadano pomnik Stanisława Moniuszki stanie w Parku Kolejowym opodal ulicy Piłsudskiego. Przeciwność tej lokalizacji, niżej podpisany, wypowiadał się już przed rokiem. Byłoby na pewno lepiej, gdyby pomnik stanął obok szkoły imienia wybitnego kompozytora. Po Kościuszce i Tuwimie Moniuszko jest już trzecim akcentem rzeźbiarskim w naszym mieście.

Nakładem Warszawskiego Wydawnictwa „Czytelnik” ukazał się obszerny, bardzo ciekawy tom wierszy Marka Wawrzkiwicza. Nazwisko nie jest obce czytelnikowi „Od głosów” — tutaj poeta od lat ogłasza swoje wiersze i materiały publicystyczne. Tytuł zbioru ORZECH i NIMFA, cena 10 zł. Warto kupić.

Nie ma już, zdaje się, spółdzielni dozorców „Czujność”, bowiem czujność tych panów dawna zbyt wiele materiałów do żartu. Teraz łódzka spółdzielnia dozorców nazywa się „Światowid”. Według słowniśkich wierszy Światowid miał, co prawda, cztery głowy zwrócone w cztery strony świata, ale był m. in. bogiem losu i przeznaczenia. „Wszystko w rękach losu i przeznaczenia” — zdają się mówić strażnicy nocni... śpią nadal.

J. W.

Wszystko ma swój kres, wracamy. Człowiek bywa sentymentalny, przywiązuje się, przyzwyczajają do miejsc, do ludzi, do ścian i okien pokoju. W nich przecież coś pozostaje z nas — rozglądam się wokół, tak, to prawda. Od kilku dni utrwała się gdzieś we mnie poczucie końca jakiegoś fragmentu mojego życia, który urwie się raptownie z ruchem pociągu. Skoro tylko przesunę się w przestrzeni, zmieni się i czas. I w tym czasie oczekującym mnie pod dymami Łodzi odnajdę starych przyjaciół, dawne kłopoty i radości, i coraz mniej godzin na wspominki. Och, wierzę Gombrowiczowi: pobudzenie przestrzeni stałe się prowokacją czasu.

Zaraz, jak się to odbywało? Zleciałem na wiedeńskie lotnisko w październikowe południe, była niedziela, ja-



czwartego tygodnia, dziewiąty miesiąc. I oto dzień odjazdu. Jest coś z ostrej ciekawości i paraliżującego zażenowania w naszym stosunku do tamtych spraw i ludzi. Wydaje się, że na początku pobytu za granicą ujawnia się to w formie zbitki kompleksów. Taki zacządzony osobnik wie jednak i rozumie zbyt wiele — jest bowiem prawdziwym Europejczykiem — by dłużej czuć się tam zagubionym i wyobcowanym. Przeszkadza mu jedynie jakaś nieporadność, nieumiejętność nie tyle dostosowania się do odmiennych sytuacji, co chorobliwa skłonność do analogii wraz z przesadnym poczuciem własnej „lepszej”



Wiedeńska kawiarnia — na dalszym planie ratusz.

Fot. Schikola

obcymi miastami od rozmów z konduktorami, z bagażowymi. Moją walizkę odtańczył do autobusu młody mężczyzna. Był nienagannie operatywny i uprzejmy, o coś spytałem i słuchając go, na polu tylko rozumiejąc, wiedziałem, że szybko zapuszczę tu korzenie. Z lotniska jedzie się długo — byłem uratowany. Wchodzący we mnie spokojnie drzewa i barwne gazon, domy, sklepy, samochody, olbrzymiejące z każdą minutą kłębawisko istnień i materii. W hotelu, nie rozbierając się, rzuciłem się na łóżko, nie mnie nie interesowało, chciałem mieć sen o wspaniałej przygodzie w tym mieście. A potem zjawił się poniedziałek,

odrębność. Przeświadczenie to — przeżyliśmy więcej (kompleks ofiary i zawodu), jesteśmy inteligentniejsi, wrażliwsi (kompleks megalomanii) — utrudnia wrażliwość i słuchając go, czyni nas po trosze śmieśnymi, z goryczą w żołądku i drwiną na głbie. Jest to odgałęzienie znanego problemu Polska a Zachód wciąży w tej patologicznej postaci. Trzeba było, kilku tygodni, bym się wywikłał z tej brzydkiej obsesji; pamiętam doskonale, jak stopniowo uwalniałem się z tych kleszczy, aż wreszcie zacząłem normalnie oddychać i reagować. Winy za to nie ponosimy sami. Mimo solidnych wysiłków z naszej strony,

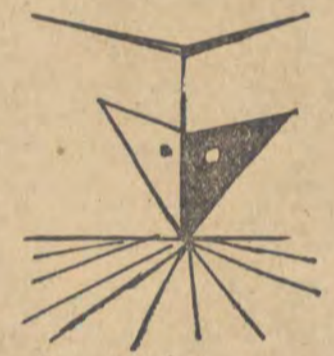
STANISŁAW KASZYŃSKI POLECNIANIE z Wiedniem

mało nas jeszcze znają, wiada o naszym kraju jest dość skromna, powierchowana. Przeciwny Austriak czytał lub słyszał o Polsce kilka ogólników, często niedokładnych lub wręcz balamutnych, czerpanych przeważnie z prasy, która jest wyczulona bardziej na sensację niż na rzeczową informację. Kilkakrotnie np. powtarzałem taką kaczkę — gdy rozmawiano się o pogodzie — że w Warszawie o chłodniejszej porze roku można spotkać brunatne, a nawet białe niedźwiedzie. Jedni nie dowierzali mi zgoła, inni ubolewali z powodu srogości nadwiślańskiego klimatu. Podczas zwiedzania Burgenlandu zapytał mnie bardzo rozgarnięty pan, z zawodu historyk, czy w Polsce wyjeżdża się na wczasy... Wszyscy natomiast znają smak polskiego jaj i drobiu czy wysoką kaloryczność śląskiego węgla. Dezorientacja lub niewiedza powstają zazwyczaj wskutek braku częstszych kontaktów wzajemnych, czasem prowokują je niechęć, zła wola, a chyba także zapamiętałe zażenowanie się wyłączenie sprawami własnego podwórka. Doświadczyłem nie raz, że tam, gdzie jesteśmy, możemy z punktu oddziaływać, przenikać, opowiadać i odpowiadać. Byłem mile zaskoczony, podając studentowi lekturę przedmiotu, wymienił polskie czasopismo naukowe. Czy ja to wyzwoliłem?

Gdy okoliczności pozwolą nam zostać dłużej, zdejmujemy dość szybko okulary zachwyty, rozluźniamy mięśnie, odzyskujemy własny ciężar, to samo ciśnienie krwi, pewność kroku i gestu. Na miejsce kultystycznego stosunku, który bodaj czy nie jest jakimś atawistycznym tępem Polaków, skoro tylko poczują w pobliżu drżenie obcego ciała, zjawia się rozsadek, i znów posługujemy się zwykłą skalą ocen. Tę naszą „normalność” potwierdziłem w niezliczonych spotkaniach i dyskusjach, na sobie i na moich złomkach. Można było się przekonać, że posiadamy rozleglejszą i głębszą znajomość świata i jego zawiłych problemów, że nasze doświadczenie historyczne jest cenniejsze, pewne nasze osiągnięcia rzeczywiście doniosłe. I że orientujemy się w literaturze i sztuce światowej całkiem poprawnie, tworząc sami wartości świetne, o zasięgu uniwersalnym. Ludzie teatru Wiednia z nieklamnym podziwem oglądali fragmenty sztuk teatralnych z naszych scen, utrwalone na filmie. A z odczytu wciągnęli wnioski, że współczesny teatr polski

te spełnia dobrze prowadzony ośrodek kultury polskiej, sprawnie funkcjonujące atachaty kulturalne, jak to ma miejsce w Wiedniu.

Ale odbiegłem nieco od tematu, chcę przecież żegnać miasto. W czasie tego pobytu zrobiłem krótki wypad do Paryża. Oczarował mnie i oszołomił Paryż, mijając granicę w Strasbourgu rozkleiłem się zupełnie — opuszczałem „la douce France”. Przeszło mi to łatwo — wracałem przecież do Wied-



nia. Do jego ulic, domów, parków, do znajomych. Do wina, które pod zielonymi platanami Grinzingu sączyłem pod melodię starych (ale jarych) szlagierów, do

Volksgartenu, gdzie chętnie siadywałem, by popatrzeć na różę. I do zapylonych roczników w Nationalbibliothek, do teatrów, Dunaju.

Teraz idę jeszcze do kafejki koło opery. Poza tytułami dzienników nie się tu chyba nie zmieniło od wielu, wielu lat. To pewnie o podobnej kafejce Alfred Polgar skreślił te oto uroczyste linijki: Od dziesięciu lat siedzi tych dwoje całym godzinami, samotnie, w tej tu kawiarni. To jest dobre małżeństwo. Och nie, to jest dobra kawiarnia. Zatrzymuję się na rogach ulic, ostatni raz spaceruję po wytwornej Kärntnerstr., wchodzę do foyer teatrów, kupuję ostatni raz gazetę, a ten tramwaj zawiezie mnie na dworzec — myślę sobie. Jakież ze mnie kłiwie bęcwał — kpię sobie z tej czułościowości, ale — uspokajam siebie — spróbujcie posiedzieć trochę w Wiedniu, a przekonacie się sami.

Prawdopodobnie nie ma zbyt wiele miast, z którymi od pierwszej chwili jest się „na ty”, tak jak z Wiedniem. Do których chciałyby się często powracać. Dlatego nie powiedziałem: adieu, lecz: do widzenia.

Kultura

Dalszy ciąg ze str. 1

Jeżeli, jak w powołanym przykładzie, mamy do czynienia z autentyczną wartością literacką i (założmy!) jakąś sensowną „Kobracą”. Ale w wypadku chybionej popularyzacji i szkoldliwego (za wszelką cenę!) „nafrakcyjniania” klasyków, o czym pisał w nr 33 „Odgłosów” Wiesław Jażdżyński, wieża Babel pojęć może okazać się groźna w skutkach i prowadzić nie tylko do dezorientacji, lecz (przez podawanie do bezmyślnego przeżywania „papk artystycznych” z „uprzystępnionych” byle jak arcydzieł klasyków) również do przekonania, że widz wzdornie słuchacz jest zwolniony z wysiłku myślowego, którego dokonali za niego popularyzator lub adaptator.

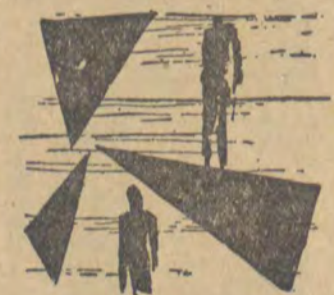
Tyle pokrótce o „niebezpieczeństwach” przyswajania treści. A teraz parę słów o „społecznej ramie” ich oddziaływania czyli o technice dostarczania treści artystycznych szerokim masom.

Socjologowie obserwują z niepokojem skutki mechanicznego sposobu upowszechniania kultury: obraz filmowy i telewizyjny — twierdzą niektórzy z nich — wypiera tradycyjne głębsze wartości, które były dostarczane dotychczas przez książkę. Inflacja szybko zmieniających się obrazów na ekranach filmowych i telewizyjnych zabija w odbiorcach bezcenny dar skupienia i przemyślenia, nie mówiąc o przeciwności treści artystycznych. Bardziej pesymistyczni badacze tych zjawisk na Zachodzie ukuli już nawet ponury termin „Vidiotyzm” na oznaczenie żalonych następstw przytępienia uczuciowego i umysłowego u maniaków kina i telewizji, którzy toną w powodzi obrazów (może należałoby raczej powiedzieć: obrazków) nie potrafia już w ogóle nigdy skupić się i zamyślić nad książką. Tu i ówdzie budzą się już zastrzeżenia i reakcje przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Podobno w Anglii w kołach tamtejszych intelektualistów jako wyraz niechęci przeciwko „ogupiającej” serii obrazków telewizyjnych wytworzył się swoisty snobizm, polegający na tym, że posiadanie telewizora uważane jest za... rzecz w złym guście.

Nie da się zaprzeczyć, że mechanizm rozpowszechniania wartości kulturalnych w związku z zagadnieniem wolnego czasu lub potrzebą odpoczynku u ludzi zmęczonych po powrocie z pracy i koniecznością leczenia się przez instytucje upowszechniające kulturę z tym faktem, powoduje obniżenie poziomu dostarczanych treści i odchodzenie od postaw kontemplacyjnych, jakimi, na przykład, odznacza się czytelnictwo lub teatr. Kultura masowa nabiera coraz bardziej (mam na myśli treści artystyczne) charakteru rozrywkowego. Czy to źle; czy dobrze? A jeżeli źle, to jak temu przeciwdziałać?

Niebezpieczeństwo tego rodzaju istnieje i, trzeba to przyznać nie owijając w bawełnę, może grozić zarówno kulturze w ustroju socjalistycznym, jak i mass-culture w kapitalizmie.

A więc, jak to jest, w końcu, z tym „plektem i rajem”? może zapytać zniecierpliwiony czytelnik. Otóż, tutaj właśnie powinna wkroczyć tylekroć dyskutowana polityka kulturalna.



jest znacznie ciekawszy, świeższy, dynamiczny niż ich własny. Przekonałem się naocznie, jak ważną robo-

Sieradzanie nie gęsi...

Mistrz Gałczyński wyśmiewając przywary narodowe mówił: „Bo my Polacy, my lubim pomniki”. Lubim. Na szczęście coraz mniej takie o jakich myślał poeta. Tym bardziej musi dziwić powoływanie się na francuskie wzory. Toż to dopiero jest prowincjonalizm. Czy trzeba przypominać Chlochemerie? Sieradzanie nie gęsi...

Nie sztuka stawiać popiersia. Idę o zakład, że co drugi mieszkaniec Sieradza potrafiłby powiedzieć K. Gruszeckiemu, kto to jest profesor Ary Sztternfeld, jaki był jego największy sukces naukowy, za jaką pracę przyznano mu tytuł dr h.c. Uniwersytetu w Nancy oraz nagrodę Galaberta. Takie rozpowszechnienie wiedzy o człowieku, o jego pracy, wielkich sukcesach naukowych jest na pewno stokrotnie trudniejsze niż fundowanie pomników. Jestem przekonana, że właśnie kierunek działania obrany przez sieradzkie władze jest dla profesora Ary Sztternfelda cenniejszy.

Profesor Ary Sztternfeld jest wzruszająco przywiązany do Sieradza i swych rodaków. W obszernej korespondencji pieczętowanej przez chowywaną przez ojeź miasta widzi jego zainteresowanie wszystkimi dziedzinami życia Sieradza i jego mieszkańców. Nie skąpi też informacji o sobie, pisząc nawet o swych osobistych kłopotach i radościach, o członkach swej rodziny i ich zainteresowaniach. Kontakty prof. Ary Sztternfelda z jego miastem rodzinnym znane są światu. Oto co pisał do Jana Matusiaka H. Galabert, którego imieniem nazwana jest fundacja nagród za wybitne osiągnięcia astronautyczne.

Tłumaczenie
„DROGI PANIE!
Otrzymałem Pana miły list z dnia 13 maja i dziękuję za niego.

Jak wszyscy obywatele i obywatelki Sieradza i całej szlachetnej Polski, jesteśmy szczęśliwi i dumni, że mogliśmy uścić tego dzielnego syna Waszego miasta.

My gloryfikujemy astronautykę, ponieważ stwarza ona doskonałą sposobność do spotkań, zgody i współdziałania wszystkich narodów naszej planety.

Dzisiejsza rywalizacja pozwała na piękne i owocne współdziałanie, do którego wniesie się swoje serce, swoją duszę i swoją inteligencję.

Ideal pokoju i wielkiego postępu naukowego, moralnego, technicznego, który służy skutecznie tej dyscyplinie jest najwyższym dobrem, jakie może wziąć na siebie ludzkość.

Witamy z entuzjazmem to zwycięstwo nauki, które daje człowiekowi swoją wielkość i godność i to właśnie pan Ary Sztternfeld, którego byliśmy szczęśliwi i dumni uścić będzie jednym z twórców tego wielkiego zwycięstwa.

Przesyłam moje przyjazne pozdrowienia dla wszystkich członków Miejskiej Rady Narodowej w Sieradzu i przez nich dla wszystkich synów i córek Waszego szlachetnego i znakomitego kraju i proszę wierzyć, Drogi Panie, w moje wyrazy szacunku i poważania.

H. GALABERT
Courbevoie le 12 juin 1963.

W tym świetle określenie użyte przez K. Gruszeckiego „prowincjonalizm” jest przynajmniej niesmaczne.

Styl pracy sieradzkiej władz cechuje rozmach i dalekowzroczność. Nawiązały one kontakt z Akademią Sztuk Pięknych w Krakowie i Uniwersytetem Jagiellońskim. Otrzymują listy od kierownika katedry Akademii Sztuk Pięknych prof. Chomicza, który ocenia wydawane tu nader często druki okolicznościowe, a także folder o Sieradzu i Ziemi Sieradzkiej, gdyż wbrew twierdzeniom zawartym w artykule „Do gwiazd daleko” Sieradz liczy na turystów i przyczynia się do organizowania ruchu turystycznego. Władze miejskie otrzymują także listy od rektora Alma Mater Cracoviensis. W którym innym mieście powiatowym można spotkać takie kontakty?

Są tu bardzo interesujące koncepcje pracy kulturalnej. Powiatowa Komisja Koordynacyjna postanowiła od września br. dowozić do Sieradza na spektakle teatralne mieszkańców odległych wiosek, do których nie dociera teatr. Liczba tych widzów ma wynieść kilka tysięcy.

Wydaje się, że nawet w stolicy nie rodzą się takie koncepcje na kamieniu. Trzeba przecież przypomnieć jeszcze wystawę filatelistyczną „5-lecie Ery Kosmicznej”, która narobiła szumu nawet poza obrebrami Europy. Warto przypomnieć, że honorowy patronat nad tą wystawą obiał prof. Ary Sztternfeld, którego wkład pracy w urządzenie był niemały. To właśnie za jego pośrednictwem na tej wystawie znalazły się takie curiosa jak autentyczne autografy kosmonautów. To on nadesłał dla wystawców 50 kopert z własnymi autografami.

Sieradzanie wysoko cenią życzliwość profesora dla ich miasta. O tej życzliwości świadczy również fakt, że profesor przekazał na budowę Szkoły Tysiąclecia w Sieradzu całkowity dochód z wydania jednej ze swych ostatnich prac naukowych. Sieradzanie w dowód swej wdzięczności nadali prof. Ary Sztternfeldowi tytuł Honorowego Obywatela miast Sieradza. Profesor wysoko go ceni. Pisze, że na oficjalnych formularzach wymienia go w pierwszej kolejności. Sądzę, że jest to również wyraz uznania dla swych rodaków. A to uznanie słusznym im się należy.

Nie miejsce tu na polemikę z pozostałymi tezami artykułu K. Gruszeckiego. Nawet szkoda, bo i częściej gospodarza budzi obiekty. Na marginesie warto jednak podać, że nie sama „Sira” stanowi o sieradzkim przemyśle i nie same kółka wyczerpują sprawy rolne. Ale to już kwestia drugoplanowa. Pierwszoplanową jest krzywda wyrządzona sieradzkim działaczom, dla których sprawa rangi miasta jest okiem w głowie.

BARBARA WRZESIŃSKA

PS. A z pomnikami radzę ostrożnie. Przy okazji bowiem można wystawić małe pomnikczek własnej ignorancji.



str.

7



Fot. Schikola

Austriacka Biblioteka Narodowa

dla milionów

JAK UPOWSZECHNIĆ?

OTO wielkie pytanie, a zarazem szansa i przewaga ustrojów społecznych, które w swej polityce kulturalnej kierują się zasadą wyboru, nad ustrojami, w których przyświeca tym poczynaniom gwiazda komercjalizmu i zysku.

Zadaniem tego artykułu było wskazać na niebezpieczeństwa zagrażające kulturze masowej nawet w socjalizmie. Potężny aparat wychowawczo-kulturalny, jakim rozporządza państwo socjalistyczne poprzez instytucje filmu, radia, telewizji, Czytelni, Bibliotek, Teatru, Wydawnictw, Prasy i last not least - wydziały kultury, a również przez Związki Zawodowe i współdziałające organizacje społeczne, powinien uszczelnić kulturę masową przed niebezpieczeństwem przelotności się w to, czym - według informacji niektórych socjologów zachodnich - staje się ona na zachodzie Europy, przed niebezpieczeństwem przelotności się w mass-culture, zrównaną w interpretacji wspomnianych socjologów z pojęciem „warstw niższych” względnie z „kulturą tandety”.

O zasadach polityki kulturalnej mówi się i pisze u nas wiele. „Walka o poziom jest ważnym zadaniem polityki kulturalnej w stosunku do kultury masowej”, stwierdza Stefan Żółkiewski w swoich interesujących „Przepowiedniach i wspomnieniach” (Wyd. PIW, 1963). „Zadaniem rewolucji kulturalnej jest stworzenie kultury socjalistycznej przez upowszechnienie wybranych tradycji oraz stworzenie nowych wartości w procesie budowania socjalizmu”. I jeszcze w innym miejscu: „Walka o styl kultury masowej jest częścią walki społecznej i rewolucyjnej mas o ich emancypację”.

Po tych cytatach można postawić pytanie, w jakiej mierze na naszym, najbardziej nas interesującym terenie rejonu łódzkiego organy aparatu wychowawczo-kulturalnego współdziałają w walce o styl kultury masowej.

Niepodobna tutaj pominąć zapoczątkowaną przez Związki Zawodowe z inspiracji Łódzkiej Organizacji Partyjnej akcji subwencyjnej w stosunku do długofalowych prac członków Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich, mającej na celu zawiązanie przez twórcę kontaktów z masami pracującymi, zasugerowanie tematów z zakresu budownictwa socjalistycznego w rejonie łódzkim, godnych pióra pisarza, wreszcie ułatwienie, a niekiedy i umożliwienie warunków pracy nad dziełem obłożonym na dłuższy okres czasu. Nie bardziej słusznym w ramach akcji o podwyższeniu poziomu kultury, jak właśnie tego rodzaju poparcie udzielane twórcom. Zostało to zauważone i należyte ocenione przez prasę ogólnokrajową, która była oklaskiwała łódzką inicjatywę, i należy sobie tylko życzyć, aby akcja łódzkiego Związku Zawodowych przekształciła się w trwały mecenat kulturalny.

Niepokój natomiast może budzić stosunek prasy łódzkiej do spraw kultury masowej. Nie będę tutaj stawał na cenzurowanym poszczególnych redakcji, zrobią to ci, którzy po mnie przejmą „pałeczki sztafetowe” niniejszego cyklu artykułów, zresztą, moim zdaniem, żadna redakcja miejscowa nie jest bez winy i ponosi odpowiedzialność w mniejszym lub większym stopniu za obojętność okazaną sztuce i kulturze rejonu łódzkiego, frakcjonaryjnym jak przysłowiowe piąte kółko u wozu.

Przykłady? Proszę, oto one!

Ukazała się (już dość dawno!) nader interesująca książka będąca zbiorem nagrodzonych reportaży o Łodzi pod tytułem „Ucieczka przedmieścia”. Zdawałoby się, że i temat, par

excellence łódzki, i to, że książka ukazała się w miejscowym Wydawnictwie Łódzkim, powinien (już choćby ze względu na patriotyzm lokalny!) skłonić redakcję do zauważenia tej pozycji. Tymczasem w naszej prasie panuje głuche milczenie dokola „Ucieczki”.

Drugi przykład. Tajemnicza poliszylna jest, że frekwencja w teatrach łódzkich zaczęła od początku bieżącego roku spadać w sposób zastraszający. Któż pierwszy, jeśli nie prasa, powinna uderzyć na alarm i podjąć akcję, żeby zainteresować szerokie masy sprawami repertuaru teatralnego? Tymczasem, jak dotąd, nie tylko nie było żadnej pomysłowej akcji w prasie, ale recenzje w dziennikach w ramach trzydziestu lub czterdziestu wierszy były nikłe i anemiczne (nie winię za to recenzentów, ograniczonych szczerymi rozmiarami wydzielonego im kawałka w gazecie) i nie mogły nikogo zainteresować recenzowanymi spektaklami.

Słyszysz się z kół dziennikarskich, że przejściowe trudności na rynku papierniczym i zmniejszenie objętości gazet zmuszają redakcje do ograniczenia działu wiadomości z zakresu kultury. Rzecz jednak zastanawiająca, że inne prowincjonalne dzienniki, również przeżywające trudności z brakiem dostatecznej ilości papieru, nie ograniczyły w tak poważnym stopniu swego działu kulturalnego. Przykładem może być tutaj krakowski „Dziennik Polski”, który nie zredukował swych kontaktów ze środowiskami twórczymi i nie przestał być żywo redagowanym i wszechstronnie informującym swych czytelników piśmie.

Przyjeżdżający do Łodzi i nie zorientowani w życiu miasta przybysze, którzy biorą do ręki dziennik łódzki, mogą odnieść wrażenie, że w mieście tym nie ma rozwijających się coraz bardziej, prężnych środowisk artystycznych, że nie ma w nim ognisk ruchu naukowego i intelektualnego, że zainteresowania prasy sprowadzają się do tego, jakie potrawy można zrobić z papryki, co przyniesie moda, jak się czują dziewczęta na koloniach letnich i tym podobnych „michalichów”, i że ten polski Manchester to tylko fabryki włókiennicze, dym, sadze i marazm.

Odnosi się wrażenie, że prasa łódzka prezentuje swym czytelnikom osiągnięcia kultury masowej tylko od strony rozrywkowej czy zabawowej, jeżeli wolicie, a więc chętnie udziela na swych łamach miejsca efektywnym artykułom o piosenkach, kinie i telewizji, jakby nie dostrzegając, że w tym dziale kultury masowej kryje się poważne niebezpieczeństwo jej splycenia, natomiast - zapomina o istotnej stronie kultury, która wymaga poważnej informacji, poparcia, upowszechnienia, propagandy.

A należy właśnie pamiętać, że nasi teoretycy zagadnień współczesnej kultury są nie tylko (i słusznie!) zdania, że walka o poziom jest doniosłym zadaniem (powiedzielibyśmy nawet - obowiązkiem) prasy socjalistycznej, ale dają również wyraz przekonaniu, że upolitycznienie (co jest znów zadaniem dla prasy) wzbogaca kulturę masową i że przez świadomy wysiłek można wiele zdziałać w kierunku podniesienia wymagań stawianych produkcji kulturalnej i w kierunku jej upowszechniania.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Recenzje z „Ucieczki przedmieścia” w „Głosie Robotniczym” i „Expressie Ilustrowanym” ukazały się po oddaniu mojego artykułu do druku, a więc bardzo późno.

W. R.

Pośmiertnie wydane dzieło Stanisława Wasylewskiego strukturą i rodzajem literackim przypomina Łozińskiego. Wasylewski w okresie międzywojennym należał do najpoczytniejszych esejistów historycznych. „Na dworze króla Stasia” czy „U księżnej Pani” były bestsellerami. Wydawca Zbigniew Jabłoński w przedmowie zaznacza, że nie należy szukać w dziele Wasylewskiego mimo dość szumnego tytułu syntezy, zamierzenia autora były znacznie skromniejsze: „gromadzenie kamyczków — realiów składających obraz potocznego życia”. Książka należy do rzędu popularyzacji na wysokim poziomie. Zaletą jej jest zwracanie uwagi na fakty drobne, często anegdotyczne, a jednak jakże wspaniale malujące koloryt epoki, pokazujące tę stronę życia, która znika przeważnie w cieniu wielkich wydarzeń historycznych wypełniających karty naszych podręczników historii.

Nie tutaj jest miejsce na wtykanie drobnych i poważniejszych usterek rzeczowych, których część trzeba położyć na karb korekty i wydawcy, bo autor nie zdolał przygotować do końca do druku swego dzieła, natomiast chciałbym podyskutować nieco nad koncepcją i układem książki.

Przed wszystkim tytuł. Nie jest on ścisły. Kalendarzyk wydarzeń obejmuje jedynie lata 1800—1830, a więc brak ostatnich 20 lat tego wieku. Wykład właściwie urywa się na powstaniu styczniowym. Niewiele dowiadujemy się o okresie pozytywizmu. Gros materiału dotyczy okresu romantyzmu. Niewiele dowiadujemy się o obyczajach wsi, a to co jest dotyczy chłopów pańszczyźnianego (mała wzmianka o emigracji zarobkowej).

Wzór „Życia polskiego w dawnych wiekach” i „Prawem i lewem” zaciążył na układzie i doborze materiału. Widzę to np. w rozdziałach: obyczaje i sztuka ludu; życie i fanaberia magnatów; pałace, salony, dworki. Pierwszy z

JÓZEF DUTKIEWICZ

POPULARYZACJA WYSOKIEJ RANGI

Życie polskie w XIX wieku

tych rozdziałów ma 13 stron, dwa pozostałe aż 36. Dalej mamy jeszcze miasta i mieszczanie na 12 stronach, zebrane pod hasłem upadek miast i mieszczaństwa. Taka charakterystyka nie odpowiada wcale okresowi po 1850, ale nawet dla lat czterdziestych jest nieadekwatna, zbyt pesymis-

tyczna. Wniosek: mamy przeważnie obraz życia polskiej szlachty, a nie całego społeczeństwa.

Jeszcze jedna uwaga co do konstrukcji: pierwsze cztery rozdziały są ujęte chronologicznie: okres Legionów, Księstwa, Królestwa oraz lata od 1832 do 1843. — Póź-

niej nie mamy już takich rozdziałów w ramach chronologicznych, lecz tytuły są rzeczowe: Teatr, muzyka, literatura, malarstwo. Brak jest w ten sposób charakterystyki okresu po Wiosnie Ludów, okresu manifestacji i powstania styczniowego, a zwłaszcza lat popowstaniowych. — Mamy natomiast duży wysiłek, by pokazać życie polskie w trzech zaborach a raczej jego jedność mimo zaborów. Uwzględnione przy tym zostało Pomorze i Mazury oraz Śląsk. Czy w dostatecznej mierze, to inna sprawa. Już z samego faktu nacisku na obyczaje szlachty i wywodzącej się z niej inteligencji Śląsk pozostał dość ubogo potraktowany.

Autor nie daje cytatów, w przedmowie stwierdza, że wertował wiele dokumentów i pamiętników. Z tekstu widać przewagę źródeł literackich i pamiętnikarskich. Oczywiście wyczerpanie np. prasy dla całego okresu było przedsięwzięciem przerastającym miarę jednego człowieka. Ale wiemy, że pamiętniki były pisane przeważnie przez przedstawicieli warstwy szlacheckiej, pamiętniki ludzi chłopkiego pochodzenia z pierwszej połowy XIX w. należą do rzadkości, brak nam też jest pamiętników mieszczańskich. Efektem jest zauważona wyżej jednostronność obrazu. Dysproporcja w przedstawieniu życia warstw niższych. Oparcie się na tekstach literackich dało w efekcie wykład przyjemny, interesujący, ale spowodowało pewne deformacje jak np. w potraktowaniu spraw gospodarczych. Tu odczuwamy chyba najwięcej usterek i niedociągnięć.

Powyższe uwagi nie oznaczają bynajmniej, by autor darzył specjalną sympatią szlachtę czy magnaterię. Przeważnie, ma dla niej sady bardzo surowe, dla nędzy chłopca wyraża współczucie, sympatię dla reformatorów walczących o nowy porządek społeczny. Nie mamy wprowadzić wzmianki o Gorzkowskim ani o Goslarze, czy Świątosiłowskim, ale z dużym uznaniem mówi Wasylewski o Dembowskim, o Ściegiennym. Spośród wodzów 1863 wymienia tylko Sierakowskiego, Jarosława Dąbrowskiego i Wróblewskiego, a prawie zupełnie pomija Langiewicza. Mierosławski oceniony jest jak na nasz gust zbyt pochlebnie, nie był on bynajmniej zwolennikiem współdziałania z rewolucjonistami rosyjskimi.

Teraz parę próbek, jakimi przykładami ilustruje Wasylewski przemiany dokonujące się w życiu polskim w XIX w. Zaczyna bardzo trafnie od „najazdu nowych pojęć i wyrazów”: romantycy szafują zwrotem „namietnie” puszczają wodze „imagnacji”, która została przez Felińskiego zastąpiona wyobraźnią. Rewolucjonści są „rozumni szaleń”, poeci pełni „żału”. Konfederaci barscy użyli po raz pierwszy terminu „niepodległość”, romantycy nadali mu nową treść. Rumieńców życia nabrał też wyraz „patriotyzm”, „patrioci”. Choć można by się spierać, czy dobór akurat tych wyliczonych tu terminów jest wyczerpujący, czy uszeregowane są najtrudniej, niemniej sama próba takiego semantycznego podejścia zasługuje na uznanie.

Autor „Na dworze króla Stasia” czuje się w swym żywiole w rozdziale — Romantyczna miłość i kobieta. Mamy więc teorię „miłości promienistej” Zana, negatywny stosunek do instytucji małżeństwa, niezgodnej z romantyczną egzaltacją. Dalej krótki charakterystyka typów kobiet romantycznych: nieodgadniona, opuszczona, egeria, darząca natchnieniem, wreszcie emancypantka pokazana na przykładzie Zmiłchowskiej i kobieta salonowa Maria Calergis.

Jako bardzo typowy wymieniam rozdział ostatni: ogrody i cmentarze. „Nowy człowiek przeżył się do wolności we wszystkich dziedzinach nie mógł czuć się dobrze w orodzie francuskim” — zaczyna Wasylewski swój wykład. Opisuje jak z ogrodu sentymentalnego zrodził się ogród romantyczny. Przechodzi następnie do informacji o ogrodach miejskich, wysuwając na pierwszy plan Planty krakowskie. — Podrozdziałek o cmentarzach zawiera jedynie krótką informację o trzech cmentarzach: Powązkowskim, wileńskim na Roszie i Lyczakowskim we Lwowie; bez jakiegokolwiek charakterystyki gustu zmian przy nagrobkach. Zwróciłem uwagę na ten roz-

dział, bo na ten temat nie znaleźmy informacji w wyczerpującym wykładzie kultury polskiej Bruecknera.

Wasylewski zaopatrzył swą książkę w „kalendarz wydarzeń”, rok po roku na 42 stronach mamy podane przeważnie bez dat dziennych i miesięcznych wydarzenia według pewnej selekcji. Sprawy kulturalne wyraźnie górują nad politycznymi i gospodarczymi. Zanotowane mamy czasem fakty bardzo drobne np. rok 1804: „Waleria Tarnowska z Dzikowa maluje we Włoszech miniaturę Bonapartego dla jego matki”. Pod r. 1807 jest wiadomość, że Napoleon posłał pierwsze kwiaty pani Walewskiej a nie ma wzmianki o nadaniu konstytucji. Z powyższego widać, że kalendarz będzie miał niewielką wartość użytkową.

Wydawca zaopatrzył każdy rozdział w szereg przypisów. Przypisy te nie odsyłają czytelnika do literatury lecz są informacją charakteru encyklopedycznego dla czytelnika. Tu nasuwa się uwaga ogólna dla naszych wydawnictw popularnonaukowych. Dla kogo jest przeznaczona książka i w jakim stopniu można liczyć na odczytanie i przygotowanie czytelnika. Czy rzeczywiście musimy objaśniać wszystkie nazwiska obcego pochodzenia, wiele nazwisk polskich, które czytelnik może, gdy zechce, znaleźć sobie w Malej Encyklopedii PWN. Przytoczę

choćby nazwiska Osiniński, Heltman, Feliński, Wincenty Krasiniński. Czy nie powinniśmy założyć, że czytelnik mniej więcej wie, kiedy powstała pierwsza kolej? Albo co to była Gromada Grudziąz. Wszak to są fakty wchodzące w zakres programu już szkoły podstawowej. Wydaje mi się, że nasi wydawcy pod względem podawania takich właśnie encyklopedycznych wiadomości lekko przesadzają. Rozumiem, że potrzeba objaśnić osobę Jana Dobrzańskiego dziennikarza, ale postać Adama Czartoryskiego? Czego właściwie konkretnego dowiaduje się czytelnik z przypisu I do rozdz. II: tylko imion i dat urodzenia dwu architektów francuskich, o których już z tekstu Wasylewskiego wie, że byli architektami i twórcami stylu empire. To ostatnie umiejscawia ich jakoś w czasie, a czy potrzebne są naszym czytelnikowi imiona i dokładne daty ich urodzenia? Gdyby chciał rzeczywiście dowiedzieć się o nich czegoś bliżej musiałby i tak sięgnąć do encyklopedii francuskiej. Rozumiem natomiast celowość przypisu 8 do rozdz. III, który rozszerza informację o muzykach, którzy komponowali melodie do śpiewów historycznych Niemcewicza.

Książkę można polecić, czyta się lekko, wydana jest z dużą ilością ilustracji; zawiera mnóstwo wiadomości.

JAN HUSZCZA

Próżne obawy.

Ach, któż z nas nie pisał na temat przedłużających się konferencji i jawnych wypowiedzi w dyskusji, na temat bezowocnych, a pochlaniających czas i energię, narad i zebrań!

Otwieram jeden ze swoich tomików z wierszami i czytam:

Bywa niejedno takie zebranie,
że nie wiem, po co przychodzić na nie...

Po referatach doszło do głosu
coś ze dwadzieścia (lub więcej) osób...

A już pod koniec to nie wiedzieli,
z jakiej przyczyny gadać zaczęli...

Gdy się rozeszli,
świt był na dworze...
Został protokół w segregatorze!

W tym roku posiedzenie i zebraniomania spotkała się z należytą odprawą, jak to się mówi, odgórną. Było to poprzedzone licznymi wystąpieniami w prasie, które niekiedy nawet w liczbach ujmowały stratę cennych godzin, rozprawiając się z inercją, prowadzącą do organizowania narad i konferencji bez jakiegokolwiek krytycznego spojrzenia na ich przydatność i konieczność. A nie trzeba chyba dodawać, że bez roboczych rzeczowych narad — na różnych szczeblach, w różnych dziedzinach i w różnych okolicznościach — nie można się obejść, dają one bowiem możliwość sprawdzenia pracy, analitycznego przeglądu sytuacji i wyliczenia bieżących zadań w produkcji, w działalności społecznej i administracyjnej. Chodzi jedynie o nadmiary i przerosty.

Pewien mój znajomy, sranowany przez nadmiaru pewnej organizacji o celach publiczno-społecznych, bardzo jednak tą akcją zanępkował się. Po uprzednim porozumieniu się telefonicznym, przybiegł do mnie, aby z zapalem bronił sytuacji dotychczasowej.

Okazuje się, iż Pawełek reprezentuje ten typ często spotykanego działacza, który ułatwia sobie życie i pracę. On sprowadza swoje obowiązki właśnie do organizowania rozmaitych posiedzeń, spotkań i narad.

— Dopiero na naradzie czuje, że żyje i działa! — zawołał.

— W jakim to sposobie? — Krytykuje podwładnych!

— A oni ciebie? — Oni są zbyt ostrożni, żeby na to się zdobyć!.. Na każdej naradzie podejmujemy pozytywne uchwały.

— I wieciecie je potem w życie?

— Niekoniecznie. Podejmujemy tych uchwał przeważnie za dużo. Ale za to rozsyłamy okólniki, na następnej kolejnej naradzie notujemy w protokole tych, którzy uchwał nie

zrealizowali, aby było wiadomo, kto jest za to odpowiedzialny.

— Chyba w pierwszym rzędzie ty?! Jako prezesujący oddziałowi organizacji.

Rozmówca oburzył się: — Toż nie zwyzywałbym narad, gdyby na mnie spadała odpowiedzialność! Właśnie chodzi o jej rozłożenie na cały mój aparat, aby...

Przerwałem ironicznie: — „Aby nikt za nie nie był odpowiedzialny aż do następnej konferencji...”

— Wulgarnie upraszczasz!

— A jednak! Zbieracie się, samokrytykujecie się, w segregatorze pojawia się nowy kolejny protokół i na jakimś czasie macie spokój, by na najbliższej naradzie znowu posamokrytykować się, w miarę, rzecz jasna, w miarę — powoli nowe uchwały i nie dbać o ich realizację...

— Janie, bo naprawdę obraża się...

— Nie obrażaj się, nie po to do mnie przyszedłeś, żeby się obrażał!

— Więc mów dalej!

— Po prostu, oczywiście, rzecz upraszczając, dla ciebie, Pawełku, narady i konferencje to zasadnicza działalność. Narady i konferencje stwarzają złudne poczucie, że docierasz do istoty wszystkich obowiązków i zadań...

— Bo też za każdym razem analizujemy i podsumowujemy!

— Aha! I robicie to w godzinach pracy?

— Ma się rozumieć! A teraz co: chcą ograniczyć tę tak efektywną formę działalności, do której przyzwyczailiśmy się jak do jakiegoś odmiennie bezpiecznego społecznego?

— Nie wpadaj, Pawełku, w pesymizm! Obawy twoje są wyraźnie przesadzone.

— Dlaczego?

— Bo na pewno nie jesteś osamotniony w swoim postępowaniu i rozumowaniu. Wierzę, że jakos się nie dać!

Paweł wstał, zapiał marynarkę na wszystkie guziki i uroczyste oświadczył:

— Nie damy się!!!

PS. Wypowiedź mego Pawełka bardzo uproszczone i przejaśkrawione. W rzeczywistości Pawełek po prostu wypowiadał się także przeciwko nadmiarowi konferencji i narad. Bronił tej najważniejszej swojej formy działalności, z którą tak się żył, ostryżnie, uciekając się do wymownych westchnień, aluzji i dwuznaczności.

Uplynęło nieco czasu, wygasły arecydukułowe upały. Doszły do mnie wieści — i nadal dochodzą — że tacy jak Pawełek bronią się „nie dają się”!



Fragment nowej Łodzi

Fot. Biliński

odgłosy

tr. 9

LATO było upalne i naprawdę bardzo męczące: tak przynajmniej uważają Anglicy, których system nerwowy wciąż jeszcze znajduje się w stanie rekonwalescencji po aferze dra Warda. A tu proszę, nowa szarpająca nerwy sensacja: największa w historii grabież kolejowa, której tułum padło około 7 i pół miliona dolarów. Jak to się stało?

Express Glasgow-Londyn tamtejsi kolejarze nazywają żartobliwie „Pociągiem widmo” ponieważ od czasu do czasu prowadzi on szereg specjalnych wagonów Poczty Królewskiej, przewożące bankowe depozyty. Termin przejazdu takiego pociągu, zwanego również „Złotym” jest utrzymywany do ostatniej chwili w ścisłej tajemnicy.

Tym razem Królewska Poczta przewiozła 124 worki z banknotami przeznaczonymi do wycofania z powodu zużycia. Było tego na łączną sumę 7 145 600 \$ wszystko w dru i pięćdziesięciu asy-

Pociąg widmo

natach. Paru wyszkolonych pracowników bankowych przez cały czas podróży sortowało banknoty. O godzinie trzeciej piętnaście tuż przed świtem express przemierzał płaski i odludny zakątek Buckinghamshire. Nagle przed

mało uczęszczaną mijanką za Cheddington ukazał się czerwony sygnał. Mechanik prowadzący wóz zatrzymał pociąg i wysłał swego pomocnika by ten sprawdził, co jest przyczyną postoju. Chłopak od razu stwierdził, że przewody telefoniczne kolejowych przewodów alarmowych są porzeczinane, ale parę kroków dalej między drugim a trzecim wagonem ostrzegł jakichś ludzi i pomyślał, że to ktoś z obsługi torów. Ledwie się do nich zbliżył, już został obezwładniony. W tym samym czasie bandyci wtargnęli do elektrowozu: mechanik oberwał kolbą pistoletu po głowie, potem skuto mu ręce: zorientował się, że to nie przelewki i potulnie wysłuchał rozkazu by odprawić elektrowóz wraz z dwoma bankowymi wagonami na odległość około mil, w miejsce oznaczone białą farbą w swego rodzaju „zebrę”. Tymczasem w wagonach pocztowych gangsterzy terroryzowali załogę. Przy „zebrze” czekały samochody, na które przeładowano 124 worki z banknotami i depozy-



To na tym widukcie dokonano napadu. Detektywi Scotland Yardu mają nietęgę minę...

tem. Cała akcja trwała niecałe 15 minut: miejsce zostało wybrane arcycelnie: jeden z kolejarzy musiał jechać do najbliższego telefonu na pożyczonym rowerze przeszło godzinę...

Później okazało się, że semafor, który zatrzymał pociąg miał zielone światło przysłonięte, a za szybka czerwona świeciły się zwykle kieszonekowe latarki. Punktualnie o 3,15 wszystkie przewody telefoniczne w całej okolicy zostały przecięte: w tym zapadłym odludziu nie było ich zresztą wiele. Bandyci mieli swój wyszkolony oddział specjalistów-kolejarzy: świadczy o tym sprawność z jaką odcepiono wagony, unieszkodliwiono skomplikowany system alarmowy.

Najważniejsze jest jednak pytanie, na które policja gorączkowo — i jak dotąd na próżno — szuka odpowiedzi:

skąd bandyci wiedzieli o terminie przesyłki? Ta odpowiedź nasuwa się zresztą sama: ich informatorem był ktoś z wtajemniczonych, z owej garstki bankowców, którzy w warunkach najściślejszej tajemnicy ustalają trasę i terminy takich transportów.

A trzeba przypomnieć, że w banku angielskim wciąż obowiązuje alarm ogłoszony w roku 1952 kiedy to w Londynie siedmiu bandytów ograbiło samochód transportowy — i znikło bez śladu unosząc ze sobą kilkaset tysięcy funtów.

Wówczas jednak działał ledwie siedmioosobowy gang, który mógł stosunkowo łatwo zatrącić za sobą ślady. W napadzie pod Cheddington współdziałało kilkudziesięciu ludzi zorganizowanych na wzór oddziału komandosów. Mieli nawet jedynakowe u mundurowanie: granatowe

kombinezony — i jednakowo byli zamaskowani. Poza Chicago nigdy i nigdzie dotąd nie wystąpił tak wielki gang.

Przeciw niemu ruszył do akcji natychmiast cały Scotland Yard, cała brytyjska policja wspomaganą przez wojsko i lotnictwo, cały Interpol. Nagrody wyznaczone za wskazanie śladu gangsterów osiągnęły niebywałą wysokość i sprawiły, że do śledztwa włączyły się rzesze amatorów, pomagając i przeszkadzając zarazem policji.

A postronny obserwator myśli sobie, że napad zorganizowano zgodnie z nie kończącym się cyklem angielskich filmów instruktażowych — takich choćby jak znana i u nas „Liga Gentlemanów”. I że Anglia nie jest wcale takim spokojnym, ospałym krajem, za jaki jest uważana na kontynencie.

B.



Tak prawdopodobnie wyglądało ładowanie worków z pieniędzmi...

Muszę zacząć od tego, że mój dziadek był bohaterem. W czasach, kiedy zdarzyło się to, o czym chcę opowiedzieć, mieszkaliśmy w Nebraska, gdzie dziadek osiadł po wojnie domowej, zmęczony czynami wojennymi i opromienianymi chwila zwycięskiego dowódcy, odwiedzając od czasu do czasu dawnych towarzyszy broni, którzy darzyli go ogromnym miernem.

Dziadek miał takie zasady, że nie dawał się wybrać ani na szeryfa, ani na sędziego pokoju. Za to każdy szeryf i każdy sędzia pokoju naradzał się z nim w ważnych sprawach, a ja, jeszcze jako mały chłopak, nieraz się takim naradom przy słuchiwałem. Bo dziadek uważał, że to jest taka forma edukacji, która może się chłopakowi w życiu przydać, a na punkcie edukacji miał zupełnie gofię i codziennie powtarzał mi — „Chłopcze uczyć się, uczyć się; bo tylko wiedza w życiu coś znaczy”.

Z moją edukacją były kłopoty. Po ukończeniu gminnej szkółki nie mogłem wyjechać do miasta na dalszą naukę, by-

wypatrywał w jakimś wyschniętym tym korycie strumienia, nieznaną roślinkę, a potem nachylił nad nią — ja, wówczas mały pigowaty chłopak, i dziadek: wielki, kościsty starzec z sumiastymi włosami. We dwóch, szukaliśmy nazwy tej rośliny w starym atlasie botanicznym Nebraska, a dziadek mrucał swoje: „Pamiętaj chłopcze, tylko nauka, tylko nauka...”

Były to lata przełomu, skończyły się już kłopoty z Indianami, ale kleska kraju stali się bandyci, których jeszcze nie nazywano wówczas gangsterami. Któregoś dnia rozeszła się po miasteczku wiadomość, że jakaś banda napadła na pociąg i ograbiła wagon pocztowy, w którym przewożono sto tysięcy dolarów. Była to nie lada sensacja. Wszyscy tylko o tym mówili.

W parę dni później zjawił się w naszym domku dziwny facet. Wyglądał bardzo miastowo, nosił melonik, i dusił się w wysokim celuloidowym kołnierzyku. Dziadek poprosił go, żeby usiadł w starym, obitym skórą fotelu i patrząc na niego swymi wyblakłymi, wszystko

— Do mnie? — zdziwił się dziadek.

— Szeryf poradził mi, żebym zwrócił się do pana — powiedział facet — Pana znajomość ludzi i autorytet...

— Więc słucham — powiedział dziadek.

— Pan zna Luke Brindle? — zapytał facet.

— Oczywiście — powiedział dziadek. Był moim żołnierzem.

— Tak. To ten dawny żołnierz — kiwnął głową facet. — Ojóż jego kuzyn, który brał udział w napadzie na pociąg, ukrył gdzieś pięćdziesiąt tysięcy dolarów, połowę łupu. Mam dowody na to, że przejeżdżał przez waszą miejscowość.

— I myśli pan, że Luke ma z tym coś wspólnego?

— Wydaje mi się to logiczne — powiedział facet. — Mógł schować pieniądze gdzieś u Luke'a tym bardziej, że już czuł pogoń za plecami.

— Nie podejrzewam Luke'a o coś takiego — powiedział dziadek. — Znam go od lat, wcale go o to nie podejrzewam!

Bardzo mnie zdziwiło, kiedy to usłyszałem, bo wszyscy wiedzieliśmy, że Luke to piłaczyna i niepoń. Ale dziadek był



PAUL PETERS

Piątka z botaniki

lem sierotą, a dziadek — o czym jeszcze nie wspominałem — chociaż inni jego towarzysze bronili jakoś się na wojnie dorobili — był biedny jak mysz kościelna. Więc uczyłem się w domu, a z tego czegoś mnie dziadek uczył, najbardziej przypadła mi do serca botanika. Całymi dniami laźliśmy po piaszczystych ugorach, dziadek

widzącymi oczami, spytał czego sobie ów dziwny przybysz życzy.

Facet bębnił palcami po meloniku i patrzył na mnie pospym wzrokiem.

— Czy możemy porozmawiać w cztery oczy — spytał znacząco dziadka.

— Dopuszczam chłopca do wszystkich sekretów — powiedział dziadek — taką mam zasadę!

Facet skrzywił się boleśnie i wyciągnął z kieszeni wizytówkę.

— Jestem detektywem — powiedział — przyjechałem w sprawie grabieży kolejowej.

już taki: lojalność w stosunku do dawnych towarzyszy broni, uważał za punkt honoru. Patrzył teraz swego na faceta z melonikiem.

— Więc czemu pan do mnie z tym przychodzi?

— Chcę pana prosić o pomoc — powiedział detektyw. — Moglibyśmy pojechać, rozjeżdżać się po fermie Luke'a, ale nie trzeba robić tego urzędowo z szeryfem, bo to wzbudzi podejrzliwość i jeśli pieniądze gdzieś tu są, to zaraz w nocy zostaną ukryte w innym miejscu. Jestem pojad z panem, to zupełnie coś innego. Jeśli znajdziemy pieniądze, proponuję połowę nagrody...

— Więc jest i nagroda? — spytał dziadek.

Detektyw wstał i włożył melonik na głowę. — Pięć tysięcy dolarów — powiedział. — Jeśli znajdziemy te pieniądze dzielimy się po połowie.

Pojechaliśmy na fermę Luke'a o zachodzie słońca, wiedząc z góry, że gospodarza nie będzie w domu. Od czasu, jak żona Brindle'a, nie mogąca wytrzymać z pijanica, rzuciła go i uciekła, Luke już co wieczór zjawiał się w miejskim szynku i pił tam do rana. Pieniądze na to zdobywał wyprzedając wszystko, co jeszcze pokutowało na jego opuszczonej i żalostnej fermie.

— Mamy czas do rana — powiedział dziadek, kiedy zajęliśmy na podwórku Luke'a

— Ziemi tu wokół dziesięć akrów, plach i kamienie. Jeśli miał on gdzie chować te pieniądze, to chyba zrobił to w samym domu.

— Też tak myślę — mrknął detektyw i zapalił wielką kolejową latarkę.

Weszliśmy do domostwa Luke'a. Składało się ono z małej izby mieszkalnej, która detektyw przeszukał w mgnieniu oka. Gorzej było z ciemną, wielką komorą zawaloną narzedziami i grzami. W jej najmniejszym kącie zszalał Luke siemiakiem przeznaczony na wio-

— Wygląda na to, że tu nic nie ma — powiedział wreszcie detektyw i otrząpiał ręce. — Chyba pójdę rozjeżdżać się wokół zagrody.

— Proszę bardzo — powiedział dziadek. — A my sobie tu poszekammy.

Późną nocą wróciliśmy do domu, oczywiście z próżnymi rękami i detektyw był bardzo rozczulony. Dziadek natomiast poweselał.

— Wiedziałem, że Luke nie ma z tym nic wspólnego — powtarzał. — To przecież mój żołnierz.

W domu zjedliśmy kolację, detektyw był malomówny, a dziadek wziął się, żeby go ciał nać za język. Wypytywał skąd pochodzi i bardzo się zdziwił usłyszawszy, że wychował się na wsi. Wreszcie nad ranem, kiedy już mi całkiem się kleiły oczy, detektyw pożegnał się i poszedł na staję, a dziadek był tak ożywiony, że zawręcił go jeszcze do schodków na ganek i wzięwszy faceta pod rękę, podprowadził go do okna, na którym stały kwiaty.

— Czy zauważył pan jak wszystkie rośliny tęsknią za światłem, za słońcem? — powiedział z dziwną intonacją w głosie. — Czy wie pan co to jest heliotropizm?

Detektyw był źle wychowanym człowiekiem i odburknął coś niegrzecznego. Dziadek się tym nie przejął, słuchał z uśmiechem oddalając wch się kroków gocią, a potem klepnął mnie po policzku, tak, że całkiem się zbudziłem i powiedział.

— Musiałem mu dać tę szansę, mój chłopcze. Uznaję tylko fair play.

Po czym wsadził mnie do bryczki i zdrowo popędzając konia, pojechał na fermę Luke'a. Musiałem trzymać latarnie, kiedy dziadek rozgrzebywał kartofle, by spod nich wyciągnąć worek z pieniędzmi.

„Nauka, mój chłopcze, tylko nauka znaczy coś w życiu — powtarzał wesoło. Jak by ten szpiebel przykładał się do książki, to może by zauważył, że podły kartofli zdradziły, iż ktoś niedawno rozgrzebał ten kopiec. Wiele pamiętał, chłopcze, tylko nauka w życiu coś znaczy”. Na drugi dzień dziadek z wielką wialką pojechał do Omaha i wrócił przewożąc pięć tysięcy dolarów. No i teraz mógł mnie już wysłać na studia: w taki oto sposób zostałem botanikiem.

Przetłóżył: B.

str. 10 ogłoszeń

Metamorfozy „KLAPSA”

Kilka razy na tych łamach pisaliśmy na temat popularnego magazynu telewizyjnego „Klaps” — poświęconego problematyce filmowej. Niestety, pomimo całej sympatii dla owych czasów popularna i bardzo potrzebna audycja telewizyjna, jakim jest „Klaps”, zaczęła zyskiwać rumieńce czegoś, co jest naprawdę redagowane i realizowane z pomysłem i starannością, z dbałością o aktualność, rzetelność informacji a nawet krytyczną ocenę przedstawianych w „Klapsie” filmów. W czasie kanikuli w naszym letnim programie telewizyjnym trze-

ba tym bardziej odnotować udany sierpniowy numer telewizyjnego „Klapsa” pod redakcją Ernesta Brylla. Omawiana audycja zawierała oprócz informacji na temat aktualnej polskiej produkcji filmowej także „coś” co powinno należeć z pełnym uznaniem. Tym „czymś”, a raczej „kimś” okazał się znany recenzent filmowy „Polityki” — red. Zygmunt Kałużyński, który bardzo prosto a jednocześnie ciekawie opowiadał o aktorstwie filmowym i środkach wyrazowych twarzy aktora. Trzeba przyznać, że potrafił mówić o temacie bardzo złożonym i trudnym. Wybrnął z postawionego mu zadania bardzo dobrze. Ciekawa

okazała się również konfrontacja wypowiedzi Kałużyńskiego o polskim filmie kryminalnym z obroną tego ostatniego wygłoszoną przez red. Jana Batorego, autora aktualnie wyświetlanego w kinach „Ostatniego kursu”. Wywody Kałużyńskiego na temat polskiego filmu kryminalnego niewątpliwie można by szczegółowo poddać drobiazgowej analizie i próbować z nimi polemizować. Nie tutaj jednak miejsce na polemikę; i to polemikę niezwykle trudną z jednym z naszych najbardziej elokwentnych krytyków.

W dalszym ciągu dyskusyjnym i dziwnie sztucznym wydaje się utrzymywanie w

„Klapsie” formy konferansjera, którą pełnią kolejno zmieniający się popularni aktorzy. Na pewno poprzez tę formę i udział znanych aktorów, autorzy „Klapsa” starają się swoją audycję uatrakcyjnić, stworzyć w niej klimat łączności z widzami. Niestety, nawet najbardziej popularni aktorzy, a nawet aktorki, mimo swoich niewątpliwych walorów warsztatu aktorskiego, wielokrotnie nie mogą poddać trudnej roli prowadzącego audycję, który musi być zarażem rzeczowym komentatorem i dowcipnym konferansjerem. Wydaje się, że słusniejsze byłoby powierzenie tej funkcji jednemu z autorów „Klapsa”, obrotnemu dziennikarzowi, co jest zresztą z powodzeniem praktykowane w takich magazynach telewizyjnych i radiowych jak Dziennik Telewizyjny i radiowe „Z kraju i ze świata”. Oczywiście nie od razu można osiągnąć i wypracować najlepszą formę prowadzenia „Klapsa”. W tej sprawie raczej należy zdać się na odpowiedzialnych realizatorów, którzy dokonali już wiele w podniesieniu poziomu informacji i realizacji audycji, która do niedawna była bardzo słaba a nawet kompromitująca swoją powierzchownością i amatorszczyzną. Oby pochwały nie zaszkodziły nowemu „Klapsowi”.



Ranga pomidorowego przecieru

Telewizja dąży do uniwersalizmu. Tak mi się w każdym razie — czasami — wydaje. Może nie mam racji, ale kiedy bardzo przyjemnie którejś użyto ileś tam metrów taśmy, całkiem serio udaje, że przyrządza wyborę kłopsiki z dżorsza, i kiedy jednocześnie spiker-komentator poważnym, rzeczowym tonem zaleca te kłopsiki uwadze gospodyń-telewidzek, wtedy właśnie zaczynam myśleć, że nasza telewizja pragnie stać się wszechuniwersalną instytucją, wszechstronnym robotem, który nie tylko informuje, uświadamia, poznaje, propaguje, reklamuje, ale ponadto i naucza. Uczono nas jeździć samochodem na telewizyjnym kursie, co było skądinąd pożyteczne; zamierzano uczyć języków obcych, co byłoby jeszcze bardziej pożyteczne gdyby się powiedało; uczono nas także — między innymi — że: do najpopularniejszych roślin i krzewów jagodowych, znanych dosyć szeroko, należą truskawki, porzeczki, maliny i agresty (cytat z „Radia i Telewizji”); uczono nas, jak mamy się ubierać, że — na przykład: w zamszowe kurteczki, (ponieważ modne są w Paryżu, bagatelka) spośród tych wszystkich różności znalazło się również miejsce na naukę przyrządzania kłopsików z dżorsza. Więcej: swego czasu telewizja urządziła coś w rodzaju teleturniejowego pokazu gotowania. Eksperyment zaiste był nowatorski, a ponieważ nie miał powtórzeń ani plagiatorów, więc sądzę, że nie wywołał powszechnych aplauzów. Nie mam nic przeciwko kłopsikom z dżorsza, jednak ta konkurencja o lepsze z Liżą Kobiet wydaje mi się być cokolwiek nadprogramowa, no i przesadną skłonnością do uniwersalizmu.

pracy umysłowej dziecka w wieku szkolnym, itp. Brzmi to wszystko nawet wcale — wcale, i ktoś, kto nie miał szczęścia oglądać ostatniego wydania magazynu, pomyśleć może, że czepiam się, poszukując dziury w całym — ambicje są przecież wskazane, a nawet gorąco poszukiwane.

Owszem, tylko ambicja ambicji nierówna. Ostatni magazyn „Nie tylko dla pań”, według scenariusza ALICJI KONSTANCIĄK, za jął się tak zwanym „problemem”, ale zajął się w sposób dosyć szczegółowy, z własną ciwą sobie nonszalancją i „lajdactwem”, co — oczywiście, „problemowi” na zdrowie nie wyszło, a w rezultacie takich zabiegów „problem” stał się lekko humorystycznym, powiedziałbym — nieumyślnie sparodiowany.

Jak się rzekło — magazyn „Nie tylko dla pań” poruszył kilka niebagatelnych kwestii — autorytetu nauczyciela podrywano często przez rodziców, stosunku rodziców do szkoły; padło w trakcie audycji nawet tak ważne słowo (cały wynikający z niego „problem”) jak: zaufanie rodziców do szkoły; poruszono kwestię higieny pracy umysłowej dziecka; wszystko to ładnie, ale — z naturalnych, obiektywnych przyczyn, takich jak czas emisji, oraz wiadoma „hierarchia” spraw ważnych i ważniejszych, o tych ważkich sprawach mówiono w magazynie jakby z uśmiechem; tak, pamiętajcie, drodzy telewidzowie nie przecinać swoich dzieł pracami domowymi, pamiętajcie o zaufaniu do nauczycieli, i broń Boże, nie podrywajcie ich autorytetu. Jedną z interlokutek opowiadała na „telewizyjnym uśmiechu” tragiczną historię wiejskiego dziecka, które choć zdolne i ambitne, poniosło życiową klęskę: nie zdało egzaminu do szkoły średniej, ponieważ nie miało w domu warunków do nauki.

Po zaliczeniu „problemów” magazyn „Nie tylko dla pań”, w jednym ciągu dał pokaz przyrządzania przecieru pomidorowego, poradził, jak usuwać plamy z długopisu, pokazał kilka fartuszków szkolnych, i — kilka modeli dla „mamaś”. Przyrządzanie przecieru pomidorowego okazało się w tej audycji również ważne, i potraktowane zostało jednakową miarą, jak autentyczne, problemowe kwestie, z których każda starczyłaby na oddzielny program publicystyczny.

A jednak — jakaś hierarchia „problemów” powinna być zastosowana nawet w tego typu magazynie, jakim jest „Nie tylko dla pań”, a że się tak nie dzieje winna właśnie owa tendencja — wiemy wszystko, na wszystkim się znamy. A właśnie, że nie!

KOWALSKI

Fotel telemana:

Humor nieco... makabryczny

Znany już chyba doskonale wszystkim telewizjom z ciekawego dowcipu, dobrych tekstów i świetnego wykonania — magazyn aktualności satyrycznych: „Wielokropek” — po raz dziesiąty pojawił się na małym ekranie, obchodząc jakby swój mały jubileusz.

„Wielokropek” jest na pewno jedną z lepiej i staranniej przygotowanych pozycji programu telewizyjnego. Tym dziwniejsze, że jest to pozycja stała, cotygodniowa. Charakterem swoim przypomina (nie powiem, że naśladuje) nasze lokalne, łódzkie „Lupu-cupu”. W każdym razie „Lupu-cupu” było dużo weselejsze od „Wielokropka”. Natomiast „Wielokropek” posiada tę przewagę, że jest bardziej równy, właściwie zawsze jednakowo dobry. (Z „Lupu-cupu” bywa różnie: raz dobrze, ale czasem znacznie gorzej). Do ostatniego wszakże wydania magazynu satyrycznego „Wielokropek” zglaszam jedno zastrzeżenie. Nie wszystkie tematy nadają się do pokazania ich w krzywym zwierciadle to oczywiste, tymczasem program „Wielokropka” stworzyła satyryczna piosenka — duet, w stałym zresztą wykonaniu Jana Kobuszewskiego i Jana Kocianiaka, o... zatruciu grzybami. O śmiertelnych zatruciach grzybami. Nie winię aktorów, winię autora tekstu, który dowcipnie ułożył rymy o tym, jak „za górami, za dolinami znów się potruili ludzie muchomorami”. Lekki dreszcz zgrozy zaczął pelzać mimo woli po plecach, kiedy Kobuszewski śpiewał, że przyrządził my muchomory w śmietarce, a potem sobie zobaczymy, kto się nimi zatruje. Drogi „Wielokropku” — satyra jest potrzebna, ale przecież nie tego rodzaju. Ta jest zbyt makabryczna — śmiertelne zatrucia grzybami nie nadają się na rymowane przyspiewki.

Aktualności

Kolejny reportaż na życzenie „Wszehniczy Telewizyjnej” zajął się relacją bardzo miłą, wywołującą przyjemne skojarzenia smakowe — z warszawskiej rozlewni win Andrzeja Mosza oraz specjalści — winiarze opowiedzieli nam o produkcji no szczególnych gatunków

BIAŁE i CZERWONE

tego wykwińskiego (nie zawsze, a „Czar Naleczowa”) trunku. Ale nie wszystko było w tym reportażu jednakowo ciekawe, zupełnie zbędna wydała mi się osoba prowadzącego program, chociaż zapewnił on, że jest znawcą wina, i że lubi sobie je popić (jedno z drugim niewiele ma wspólnego: można lubić popijać, a nie być koneserem), to nie bardzo wiedział, jakie ma stawiać pytania, zaproszonym do stołu gościom w następstwie pytania Andrzeja Mosza raczej przeszkadzały niż pomagały w utrzymaniu narracji reportażu.

Aktualności

Prix Italia

Czternaście lat liczy sobie tradycja międzynarodowej imprezy, znanej pod nazwą: „PRIX ITALIA” podczas której najlepsze słuchowiska radiowe oraz najwartościowsze programy telewizyjne uzyskują wyróżnienia, podobne do tych, jakie przyznaje się filmom na międzynarodowych festiwalach. Polska uczestniczy w Prix Italia po raz szósty, w ubiegłym zaś roku uzyskała najwyższe wyróżnienie za przedstawiony spektakl telewizyjny („Dwumarcowe”). Obecny festiwal radiowo-telewizyjny trwać będzie od 16 września do 2 października, telewizyjną polską będzie na nim reprezentować: „Świadkowie”, czyli nasza mała stabilizacja, dramat Tadeusza Różewicza, autora „Kartofelki” i „Grupy Laokoona”. Polska premiera „Małej stabilizacji” w telewizji odbyła się 31 stycznia bieżącego roku. Inaugurując rozpoczęcie działalności eksperymentalnego teatru telewizji „Studia 63”, Reżyserem „Małej stabilizacji” był Adam Hanuszkiewicz. Główni: Zofia Kucówna, Andrzej Lapicki, Czesław Wołłejko oraz Zbigniew Zapasiewicz.



Spiewa Krystyna Sienkiewicz: „Mamma Twist”

Fot. Z. Krajewski

Do redakcji „Odgłosów”

Święta prawda pisze Z. Niemann w „Odgłosach” nr 33 w artykule pt. „Reklama i antyreklama”. Tak jest. Zgadza się jak najbardziej. Odezw w dniu 15.08.63 r. wybrałem się do Urzędu Pocztowego przy ul. Spornej, aby włożyć na książeczkę PKO skromne oszczędności (należę do tych obywateli, którzy zmuszeni są korzystać raczej często).

Po drodze kupiłem w kiosku „Odgłosy” (zawsze biorę do czytania, gdy idę do fryzjera lub na pocztę) i stojąc w kolejce przed okienkiem nr 2 — czytałam właśnie artykuł — „Reklama i antyreklama”. Stałam przed okienkiem o godz. 15.29 jako ośmiennasto. Do słownictwa za kilka minut stało już za mną 9 osób. (Ponadto siedziały 3 osoby przy stoliku). Wszyscy do okienka nr 2! 27 osób!!! O godz. 17.10 wyjełam z torebki notes i spisałam treść widniejącą na tablicy okienka nr 2.

„Wpłaty przekazów pocztowych i telegraficznych.

Wpłaty na książeczkę czekowe i oszczędnościowe PKO.

Opłaty telewizyjne i rejestracja radia.

Wpłaty za abonamenty telefoniczne.

Wpłaty na r-ki ORS.

Przyjmowanie utargów (koniec, kropka, chyba wystarczą bez żadnych komentarzy).

Obok okienka nr 4.

Nadawanie i wydawanie paczek.

Nadawanie przesyłek pocztowych.

Sprzedżać znaczków pocztowych.

To wszystko! plus siedzące dwie urzędniczki przy biurku.

Natomiast w pierwszym pokroju od wejścia, okienko nr 1: „Naczelnik Urzędu”. Okienko nr 3 wywieszka: „Przyjmowanie utargów”. Pokój był w ogóle pusty. Stałam 45 minut po to, aby wpłacić na PKO swoje własne, skromne oszczędności. I tak stoję kilka razy w miesiącu. I tak jestem załatwiana w gmachu PKO przy ulicy Kościuszki, tak w urzędzie przy ulicy Zachodniej, tak przy ulicy Spornej. Słyszę jak wszyscy psoczą, narzekają, kląną i obiecują sobie skończyć wreszcie z oszczędnościami. Naprawdę to nie ma sensu i to się nie opłaca.

I po cóż ta reklama, i po co szarpnięcie nerwów? A więc do magania się wydziałem okienek na wpłaty PKO jest najbardziej uzasadnione i w imieniu własnym i wielu znanych ten postulat popieram.

J. MACKIEWICZ



Alkoholizm w Ameryce (III)

Profesorowie uniwersytetu Yale, Howard W. Haggard i E. M. Jellinek stwierdzają, że pije się sporo i w innych krajach, ale gdy w innych krajach pije się piwo i wino, to w USA wypija się mnóstwo różnych mocnych wódek. Dlaczego? Ponieważ działa ona najszybciej, więc kto się chce upić, żeby odsunąć od siebie swoje obawy i zapomnieć o niepewności i kłopotach, sięga po wódkę, przynajmniej w wątpliwym „szczęściu” jak najszybciej.

* * *

Gdzie należy szukać przyczyn tego zatrważającego stanu? Według profesora Parkera H. Johnsona z San Francisco głównymi przyczynami picia alkoholu są: chęć pozbycia się niepewności, chęć dodania sobie odwagi do życia i do kontaktów z kobietami.

Atomowi podlegające wojnie i niepewność egzystencji oraz fałszywa moralność zbierają swoje owoce. Zimna wojna sprawiła, że w kraju, który ją prowadzi, 80 milionów obywateli dodaje sobie odwagi i rozgrzewa się alkoholem.

* * *

Dlaczego przytoczyliśmy te wszystkie stwierdzenia znanych naukowców i działaczy z alkoholizmem w USA? Żebyśmy sobie uświadomili różnicę w poglądach. Nasze dążenia — to być czujnymi w pracy i w rządzeniu naszymi krajami. A tam — zamroczenie alkoholowe, które „pomaga” widzieć siebie i swój los w różowych kolorach.

odgłosy TYGODNIA

KUKULCZE JAJO

Tak, właśnie „kukulcze jajo” do wysładywania spróbowała podzucić twórczyni p. Teresa Wojciechowska w „Dzienniku Łódzkim” w artykule „Czy eksperymenty są dla publiczności?” (nr 200) — sugerując, że najważniejszym zagadnieniem, które powinno trapić twórców — jest kwestia formy. Otóż nie, pani Tereso, dla marksistów zawsze najważniejszym było, jest i będzie, zagadnienie treści utworu. Właśnie kwestiom treści i ideowości twórczej poświęcone było XIII Plenum KC PZPR i nie należy czytelników suszerować, że było inaczej. Oczywiście, nie kiedy zagadnień treści nie można odrywać od zagadnień formy, ale o tym, pani Tereso, nie wiedzą marksści, którzy posługują się dialektyką zakładającą związek zjawisk. Zresztą, ta sprawa to nie wymysł marksistów. Odkąd istnieją pisarze, odtąd jedną z ich wielkich trosk jest jak „odpowiednie” dać rzeczy słowo.

Więc w końcu o co chodził p. Wojciechowskiej? O to, że jak pisze: „Przedostała się do nas z Zachodu moda na antypowieść, antyfilm i inne jeszcze artystyczne „anty” — a my jak powiada, nie mamy ochoty na żadne „anty”. Cytuję: „Nie ma więc powodów w sferze sztuki, nie ma ich też w dziedzinie ideowej do twórczości na „anty”.

Zabawne. „Anty” znaczy „przeciw”. Ale zdaje się tylko tyle z tego rozumie autorka artykułu. Zapewne nie wyobraża sobie, że może być antypowieść, przekazywana bliższe nam treści ideowe i zwykła powieść, przekazywana treści najbardziej nam wrogie. Rzecz przecież nie w „anty”, pani Tereso. Dla pani gotowiliśmy wyznaczyć nowy termin: „propowieść”; czytając nie będzie pani przeżywała obaw, że bron Boże jest pani „przeciw”.

A poza tym, p. Tereso, tak zwana „antypowieść” na Zachodzie wcale nie powstała jako reakcja na spadek poziomu twórczości artystycznej dla mas. Powody powstania antypowieści są znacznie bardziej złożone. W każdej epoce twórcy szli kaja coraz nową formę dla wyrażenia trapiących ich problemów — i nie ma w tym nic złego. Zło leży w „modniśkich”, którzy bezkrytycznie naśladują każdą próbę nowatorstwa. Mamny wówczas do czynienia nie z nowatorstwem, ale z jego karykaturą.

I jeszcze jedno. Właściwie dla kogo są przeznaczone takie artykuły w „Dzienniku Łódzkim”? Dla tej grupki 40 pisarzy w Łodzi? Ależ oni mają własne pismo, gdzie o tych sprawach mówi się w sposób znacznie bardziej głęboki i wyczerpujący. Jeśli „Dziennik Łódzki” chce im pomóc, to niech zamieszcza twórczość pisarzy: wiersze i fragmenty prozy, a także recenzje o ich książkach. Ale tego właśnie „Dziennik Łódzki” nie robi.

„Wzięty” obóz

Lato stulecia dogorywa. Kończą się wakacje. Jeszcze parę dni, a namioty w Ślawie Śląskiej, „etstowej” miejscowości obozu szkoleniowo-wypoczynkowego ZMS, zostaną sprzątnięte, teren obozu zrobi się pusty, umilkną śmiechy i śpiewy młodzieży. W tym roku na obozie Komitetu Wojewódzkiego ZMS z Łodzi uczestniczyło około dwustu aktywistów ze szkół licealnych i zawodowych. Jak w każdym roku młodzież odwiedziła liczni dziennikarze, przyjeżdżali na obóz z wieczorami autorskimi pisarzami, nie zdarzył się dosłownie ani jeden dzień, w którym by Ślawa Śląska nie witała jakiegoś gościa.

Na zaproszenie młodzieży zeżemnowskiej przybył również ważny i wielki gość — wicepremier Nowak. Podobno wicepremier oświadczył, że żaden z oglądanych obozów nie podobał mu się tak, jak obóz KW ZMS w Ślawie. Dowodem na te słowa jest fakt, że wicepremier bawił na obozie prawie cały dzień, uczestniczył też w uroczystym ognisku, zorganizowanym wspólnie z międzynarodowym obozem młodzieżowym.

Obóz w Ślawie Śląskiej odwiedzali również liczni działacze partyjni i młodzieżowi. Z Komitetu Wojewódzkiego PZPR na spotkanie z młodzieżą w ciągu miesiąca lipca i sierpnia przyjechali i sekretarz KW PZPR, tow. Stefan Jedryszek; sekretarz — tow. Bolesław Malinowski; w ostatnim zaś tygodniu i w ostatnim (już turnusie) pojechał na spotkanie z młodzieżą sekretarz tow. Jan Szczeciński.

„JUTRO BERLIN”

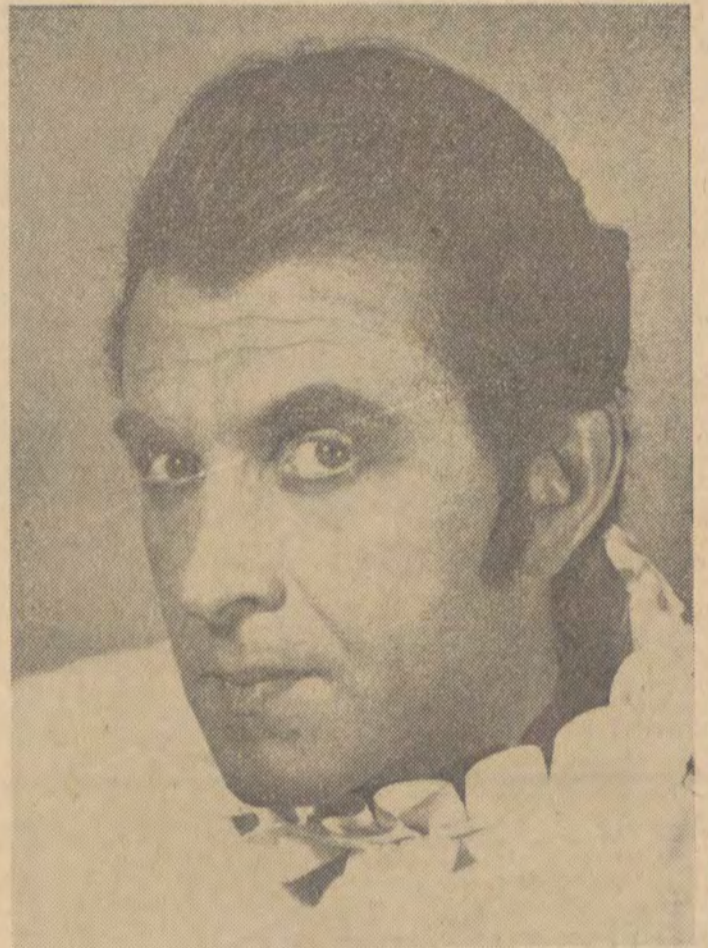
7 września w Teatrze im. Jaracza w Łodzi odbędzie się premiera sztuki łódzkiego autora, Władysława Orłowskiego pt. „Jutro Berlin”. Reżyseruje sztukę Józef Wyszomirski, scenografię przygotowała Ewa Sobolowa, gra w sztuce cały zespół teatru na czele z Feliksem Zukowskim.

Fakt ten witamy z dużą radością. Łódź bowiem ma już dość liczne i silne środowisko dramaturgów. Przed dwoma laty mieliśmy okazję oglądać aż 5 debiutów na scenach łódzkich, potem — niestety — nastąpiła w Łodzi przerwa w preferowaniu współczesnej dramaturgii, co zresztą nie najlepiej odbiło się na naszych teatrach.

Więc po debiucie „Sprawiedliwości w Kioto” Orłowskiego, zobaczymy jego następną sztukę: „Jutro Berlin”. Orłowski zrezygnował tym razem z dość nowoczesnej formy, którą zaprezentował w „Sprawiedliwości w Kioto” na rzecz teatru realistycznego. Przekonamy się już wkrótce, czy stało się to z korzyścią, jak dalece rozwinął się autor od debiutu.

Tak oto sezon teatralny w Łodzi rozpoczyna się interesująco, tym bardziej, że podobno i inne nasze teatry zamierzają otworzyć swe podwoje sztukami współczesnych autorów.

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



Marian Gamski

Oglądaliśmy go przed laty na deskach Teatru Powszechnego — najmocniej wrył się nam w pamięć w tytułowej roli w „Mazepie” Słowackiego, potem jednak, ku naszemu żalowi, opuścił Łódź na czas dłuższy, powrócił jednak — i to również do Teatru Powszechnego — gdzie przypomnieli nam swój bujny talent najpierw rolą Długiego w „Archaniołowie nie grają w bilard”, następnie licznymi i różnorodnymi rolami jak: Hanibal w „Drodro do Rzymu” czy Marek w „Miłości i neutronach”. Najnowsza rola Mariana Gamskiego to Tristan w „Jaśnie Pan Niki”.

Tekst i zdjęcie GERARD PUCIATO

OMYŁKA STULECIA

W sobotę, 17 sierpnia, pewna mieszkanka Piotrkowa — ob. W. — otrzymała z Tomaszowa telegraficzne zawiadomienie, że jej matka, przebywająca w tamtejszym szpitalu, zmarła.

Matka ob. W. była wprawdzie osobą w podeszłym wieku, na dodatek osobą nieuleczalnie chorą, ale przecież jej śmierć wstrząsnęła całą rodziną.

No cóż, na rozpacz nie było zbyt dużo czasu. Jak wiadomo, z każdym wypadkiem śmierci związane jest cały szereg różnorodnych formalności. A w omawianym tu wypadku formalności było znacznie więcej, ponieważ zmarła zamierzając przewieźć ze szpitala w Tomaszowie do rodzinnego Piotrkowa.

A więc ob. W. zawiadomiła jak najszybciej rodzinę w Kaliszu, zamówiła w drukarni nekrologi, zakupiła plac na cmentarzu (gdzie niemal natychmiast wykopano grób), poleciła krawcowej uszyć dla siebie żałobny strój, a dla zmarłej matki strój odpowiedni do trumny, opłaciła pogrzeb u właściciela karawanu i u księdza, zameldowała o śmierci w odpowiednich urzędach, zorganizowała pogrzebowy samochód, który miał przewieźć trumnę z ciałem do Piotrkowa itp.

W drugiej fazie załatwiania formalności związanych ze śmiercią matki — ob. W. zakupiła w Tomaszowie trumnę (zdaje się, że nawet, zgodnie z przepisami, metalową), opłaciła kobiety, które przygotowały ją do ułożenia w trumnie i zaczęła „ubiegać się” w tomaszowskiej Stacji Sanitarnej o zezwolenie na przewiezienie ciała do Piotrkowa...

Kiedy wreszcie ob. W. ujrzała swoją matkę w trumnie, — dostała lekkiego zawrotu głowy. Oto mniej więcej przebieg rozmowy, która do tem nastąpiła:

— Pani doktorze, to nie jest moja matka. Moja matka miała więcej włosów i...

— E, co też pani mówi, włosy wyszły pewnie na skutek długotrwałej choroby.

— Pani doktorze, moja matka miała...

— Niech pani tyle nie gada, tylko zabiera ciało, póki zezwalam!

— Pani doktorze, ale przecież moja matka była kobietą tego. Widziałam ją zaledwie przed dwoma tygodniami. A tu leży taka chudziśna...

Okazało się, że obywatelko W. wcale nie tak łatwo było wzmówić obcą kobietę jako matkę. Jej sprzeczą z doktorem przeniosła się do szpitalnego biura, gdzie na podstawie zdjęć z kilku dowodów osobistych ustalono z dziecięcą prostotą, kto jest kto.

Początek fatalnej omyłki stulecia (lato stulecia, napad stulecia...) był następujący: do szpitala w Tomaszowie przysłano ośmiu starszych kobiet z zakładu dla nieuleczalnie chorych w Ochyńsku. Zidentyfikowanie tych staruszek było możliwe jedynie przy pomocy dowodów osobistych: i kiedy jedna z tych kobiet zmarła — spojrzano właśnie, ale widocznie nie dość uważnie, na zdjęcia w dowodach.

W rezultacie — ob. W. z Piotrkowa rozpaczła i ponosiła koszty związane ze śmiercią matki, podczas gdy jej matka żyła. Tymczasem gdzieś tam, w innym mieście, jakaś niewątpliwie liczna rodzina spokojnie sobie spała...

Ciekawi jesteśmy, kto zwróci ob. W. ogromne koszty poniesione w związku z rzekomą śmiercią jej matki, kto i w jakim stopniu odpowiadał będzie za tę fatalną omyłkę.

Dodajmy, że na ulicach Piotrkowa wisiały już nekrologi, zawiadamiające o śmierci matki ob. W. i o terminie jej pogrzebu.



do druku podat 5b Cennik reklamowy

DYR. PAWLKOWSKI

Pewna młoda aktorka przysłała do Pawlikowskiego z zapytaniem:

— Czy to prawda, że pan dyrektor ma zamiar wystawić Króla Lira?

— To jeszcze nie jest zdecydowane, w każdym razie myślenie o tym.

— Pani dyrektorze, błagam o rolę Kordeli. Ja już ją gram z dużym powodzeniem.

— A gdzie ją pani grała?

— W Częstochowie.

— Ach, w Częstochowie... wiadomo, tam się dzieją cuda.

JAN LORENTOWICZ

Opowiadano niejedną anegdotę o dyrektorze Lorentowiczu. Jako dyrektor teatrów warszawskich otrzymał polecenie poważnego obniżenia gaź wszystkim artystom. Na pierwszy ogień posła Mieczysława Cwiklińskiego. Lorentowicz chciał w jakiś najdelikatniejszy sposób zapowiedzieć jej tę smutną wiadomość, zaczął nie najzręczniejsz:

— Starzejemy się, pani Mieczysławo, starzejemy się.

— Ale taktu i rozumu nie nabieramy — odpaliła Cwiklińska.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 86. Tel. 244-76. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zamówieniem: na „Odgłosy”. Druk: RSW „Prasa” Łódź. Zwirld 17. Zam 2611 IX 63 K-4